

1 MAJA - ŚWIĘTO LUDZI PRACY

odgłosy



18 (754)

30. IV. 1972 r.

Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV



Fot. E. Kudaś

Dni „Buntu Łódzkiego” to jeden z piękniejszych okresów dziejów walk proletariatu łódzkiego. To dni, które na zawsze weszły do dziejów nie tylko łódzkiego ruchu robotniczego, ale do dziejów ogólno-narodowej walki wyzwolenczej. Po raz pierwszy bowiem proletariatu łódzki w sposób zorganizowany zbuntował się przeciwko nie tylko wyzyskowi społecznemu, ale w sposób zdecydowany podjął walkę z zaborcą carskim, obrońcą klasowych i narodowych interesów kapitalistów.

80 rocznica tych dni stwarza okazję, by pokrótce przypomnieć przebieg tych walk, by oddać cześć ich bojownikom.

Pierwszym zbiorowym wystąpieniem proletariatu łódzkiego był bunt w fabryce Scheiblera w 1861 roku. Zaczęło się od niszczenia maszyn, które według ówczesnego mniemania robotników, były głównym winowajcą ich niedoli.

Poważnym też wstrząsem wśród społeczności robotniczej Łodzi było powstanie styczniowe, w którym stosunkowo licznie uczestniczyli robotnicy łódzcy. Idee i tradycje powstańcze wywarły poważny

wpływ na postawę rodzącej się klasy robotniczej w stosunku do zaborczych władz carskich. Obok hasel niepodległościowych, które ogarnęły umysły wszystkich Polaków poważny wpływ zaczęły wywierać odgłosy nowej ideologii. Za pośrednictwem prasy zaczynają

MIECZYSLAW BANDURKA

W 80 rocznicę „Buntu Łódzkiego”

doierać wiadomości o walce robotników o ich prawa.

Na skutki nie trzeba było długo czekać. Już na początku lat siedemdziesiątych wybuchają pierwsze strajki. Pod koniec tegoż dziesięciolecia (1878 r.) w Łodzi powstaje pierwsze kółko socjalistyczne. Zaczynają też docierać pierwsze nielegalne broszury o treści socjalistycznej. Przywozili je ze sobą wysłannicy warszawskiego „Proletariatu”. To sprawiło, że i

w Łodzi powstaje nowa organizacja „Proletariat”. W 1883 r. pojawiła się odezwa wydana przez łódzką organizację „Proletariat”. Podmiejskie lasy stały się miejscem spotkań robotniczych z agitatorami. W wyniku tej akcji fabryki łódzkie ogar-

1-majowych demonstracji robotniczych.

W następnym roku przed 1 maja w Warszawie i Łodzi rozrzucona została odezwa, w której wyjaśniono robotnikom znaczenie 8-godzinnego dnia pracy oraz znaczenie 1-majowej manifestacji. Obok tej

odezwy wydana została proklamacja do robotników łódzkich do poważnych wystąpień. Władzom carskim udało się wykryć dziesiątki odezwy i broszur, jakie były rozprzestrzniane wśród robotników. Zaś główny wyżykiwacz robotników łódzkich — Poznański słusznie podej-

rzewując o przygotowania wobec policmajstra oświadczył, że „on nie ręczy za swoich robotników”. Istotnie nie omylił się. Do większych wystąpień doszło właśnie pod bramą jego fabryki. Dopiero konny oddział kozaków zdołał przywrócić porządek. Akcją policji i kozaków zmuszony był kierować sam policmajster m. Łodzi. W porównaniu jednak z latami późniejszymi wystąpienia te nie były jeszcze imponujące. Był to raczej skromny początek.

Po wypadkach majowych 1891 r. działacze „Proletariatu” i Związku Robotników Polskich przez cały rok rozwijali żywą działalność agitaacyjną wśród proletariatu łódzkiego. Żywo też uzewnętrzniała się działalność władz administracyjnych, które doświadczając wypadkami poprzedniego roku przeciwdziałały wszelkiego rodzaju akcji robotniczej.

Obok J. Marchlewskiego, wśród łódzkich działaczy socjalistycznych, w tym okresie A. Próchnik wymienia Ludwika Krasuskiego, Ka-

Dalszy ciąg na str. 3



Prezes Rady Ministrów PRL wniósł do Rady Państwa sprawę ratyfikacji układu między PRL a NRF z dnia 7 grudnia 1970 r. o podstawach normalizacji ich wzajemnych stosunków. Równocześnie w chwili, kiedy ten numer „Odgłosów” ukazuje się w sprzedaży, informację o ratyfikacji układu złożył na sesji sejmowej minister Spraw Zagranicznych. Tak więc zapoczątkowany został w naszym kraju proces ratyfikacji układu. W NRF, jak wiemy, batalia o układy toczy się od dłuższego czasu. Kulminacyjnym jej punktem będą dni 2 i 3 maja, kiedy układy z Polską i ZSRR będą dyskutowane w Bundestagu. Na przebieg debaty z pewnością nie miały wpływu wyniki wyborów do krajowego parlamentu w Badenii — Wirtembergii, które odbyły się w niedzielę. Kanclerz Brandt tymczasem odbył dwudniowe rozmowy z brytyjskim premierem Heathem, w czasie których wyraził przekonanie, że do końca czerwca Bundestag ratyfikuje układy. Wizyta londyńska kanclerza Brandta dała okazję do wsparcia przez W. Brytanię polityki wschodniej NRF.

Komentując te rozmowy prasa zachodnia podkreśla, iż w trójkącie Paryż — Bonn — Londyn istnieje teraz zgodność poglądów, która rokuje pomyślne perspektywy dla spotkania na szczycie, zaplanowanego na październik. Dziennik „Guardian” pisze, że najważniejszym skutkiem wizyty jest wyciągnięcie „pomocnej brytyjskiej dłoni dla kanclerza Brandta”.

Pozostawmy jednak ratyfikacyjny temat i przejdźmy do innych wydarzeń.

W dalszym ciągu nie schodzi z łamów prasy codziennej wojna w Wietnamie. Trwająca ofensywa wojsk wietnamskich w Wietnamie Południowym, oburzające opinię publiczną bombardowanie obiektów w DRW — mają swoje odbicie w płaszczyźnie dyplomatycznej. W ostatnich dniach delegacje DRW i TRR Wietnamu Południowego domagały się w pismach, wystawianych do delegacji amerykańskiej i sągłoskiej wznowienia posiedzeń konferencji paryskiej (kolejne będzie już 148 posiedzeniem). Niestety, rzecznik Departamentu Stanu odrzucił to żądanie. — Stany Zjednoczone — powiedział on — nie wznowią rokowań, dopóki „trwa ofensywa północnowietnamska”, a dziś nie ma żadnych oznak, że „presja militarna zostanie przyhamowana”.

Stanowisko Waszyngtonu w tej sprawie jest zdumiewające. Twierdzi on, wbrew oczywistym, wieloletnim faktom, że Wietnam Południowy tylko się broni przed inwazją, a USA przychodzą mu z pomocą. „Czynimy to z konieczności — oświadczył ostatnio rzecznik Białego Domu — a nie z miłości dla armii południowietnamskiej”. Doprawdy, trudno o bardziej cyniczną wypowiedź...

Jak jednak z powyższego wynika, nie ma rychłej nadziei na wznowienie posiedzeń paryskiej konferencji, a więc i podjęcia przy stole obrad kwestii pokojowego rozwiązania problemu.

W minionym tygodniu wystąpił na konferencji prasowej szef delegacji DRW — Xuan Thuy. Podał on do publicznej wiadomości treść porozumienia, zawartego między Hanoi a Waszyngtonem w październiku 1968 r. na temat przerwania bombardowań DRW. Wynika z niego, że wstrzymanie ataków z powietrza przez USA było bezwarunkowe i że nie zawarto żadnego dwustronnego „milczącego porozumienia”, jak próbuje to wmówić strona amerykańska.

Tymczasem w Stanach Zjednoczonych nasila się walka przeciwko dalszemu udziałowi USA w wojnie wietnamskiej. Ostatnio członkowie Izby Reprezentantów z ramienia partii demokratycznej uchwalili 144 głosami (przeciwko 58) rezolucję, wzywającą komisję spraw zagranicznych do opracowania w ciągu miesiąca projektu ustawy, ustalającej termin ostatecznego wycofania się Stanów Zjednoczonych z Wietnamu. Projekt ma uzależnić dotrzymanie tego terminu jedynie od zwolnienia przez stronę przeciwną amerykańskich jeńców wojennych. Jednocześnie rezolucja ta potępia wznowienie bombardowań Hanoi i Haifongu.

Ataki powietrzne na te miasta stanowią bardzo ryzykowną grę USA, najryzykowniejszą od chwili objęcia przez Nixona urzędu prezydenckiego. Nowa eskalacja działań wojennych stanowi niebezpieczeństwo dla dwóch celów: skuteczności rozmów Nixona w Moskwie i jego zwycięstwa wyborczego w listopadzie br. AFP pisze na ten temat: „Pół tuzina rokowań jest w toku, a ich powodzenie uczyniłoby z podróży Nixona do Moskwy najbardziej owocny szczyt od zakończenia II wojny światowej”. Stawka jest więc duża i prezydent powinien zdawać sobie z tego sprawę. Nie mniejszą jest fotel prezydencki. Nowa fala sprzeciwu wobec amerykańskiej polityki wietnamskiej może stanowić zagrożenie dla obecnej administracji.

I na zakończenie odnotujmy pewną rocznicę — zapoczątkowanie tzw. dyplomacji pingpongowej między Stanami Zjednoczonymi a Chinami Ludowymi. Właśnie od roku mnożą się oznaki odprężenia w stosunkach między obu krajami. Choć w wielu wypadkach, jak pisał tokijski korespondent AP, są one nie większe niż pingpongowa rakieta, jednak otworzyły bezpośrednie kontakty na linii Waszyngton — Pekin doprowadzając do wizyty Nixona. 12 miesięcy minęło od tego czasu, a otwarto już wiele płaszczyzn wymian. A wszystko zaczęło się przed rokiem — od tournée amerykańskich pingpongistów...

W. ŚLAWSKI

● Zewsząd o wszystkim ●

Juan Carlos czy Blanco?

„NOUVEL OBSERVATEUR” — PARYŻ

W 1964 roku, pod względem tempa rozwoju przemysłowego, Hiszpania znajdowała się na pierwszym miejscu wśród wszystkich krajów kapitalistycznych. Rósł dochód na głowę mieszkańca, rosła siła nabywcza pieniądza. Wokół dużych miast powstawały coraz to nowe dzielnice. Szeroko otwarto wrota dla turystyki zagranicznej. Liczba cudzoziemców odwiedzających Hiszpanię zwiększyła się — na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat — aż piętnastokrotnie.

W ślad za turystami zaczęły napływać kapitały. Wielkie zagraniczne kompanie przemysłowe i towarzystwa ubezpieczeniowe lokowały swoje kapitały w górnictwie, w przemyśle metalurgicznym i w budownictwie. Mechanizm ekonomiczny pracował na pełnych obrotach. W latach 1960—1969 dochód narodowy Hiszpanii zwiększył się w dwójnasób. Tak było.

Teraz „hiszpański cud” umarł śmiercią naturalną. Hiszpanie, podobnie jak i inne kraje zachodnie, ogarnął zastój gospodarczy i inflacja.

Zagraniczni kapitaliści, zaniepokojeni niejasnością perspektyw politycznych, zmniejszają lub wręcz cofają swoje kapitały. Koszty utrzymania wzrosły w ubiegłym roku o 9 proc. Robotnicy fabryki w Victorii ogłosili w początkach tego roku 42-dniowy strajk, żądając, by ich zarobki odpowiadały choćby minimum kosztów utrzymania.

Również oczekiwane rozszerzenie swobód demokratycznych okazało się mitem. Nie spełniły się także nadzieje, związane z nową ustawą o prasie. W 1969 r. nie było już wątpliwości, że rząd powraca do starych „idealów” i starych metod: dyscypliny, bezwzględności i milczenia...

Ponad 30 lat dyktatury, strachu, nie spełnionych nadziei, zawrotnego tempa rozwoju niektórych gałęzi ekonomiki, zwiększającej się z dnia na dzień przepaści między niewiarygodnym bogactwem burżuazji przemysłowej, a ciężkimi warunkami życia klasy robotniczej, niemożliwość nawiązania jakiegokolwiek „dialogu z reżimem” — wszystkie te fakty razem wzięte — pomagają w zrozumieniu sytuacji w dzisiejszej Hiszpanii.

Kraj żyje w warunkach skrajnego napięcia społecznego, które doprowadza do nieustannych wybuchów. Wszyscy tutaj doskonale wiedzą, że tylko brutalne represje utrzymują ten wybuch w stanie utajonego wrzenia i powstrzymują eksplozję, w skutkach katastrofalną dla reżimu.

Rząd hiszpański nie ma co do tego złudzeń. W grudniu ub. roku minister pracy zapoznał działaczy oficjalnych związków zawodowych, gubernatorów prowincji i redaktorów gazet z dokumentem, o objętości 12 stron, w którym określa się „zasady działania w obliczu ewentualnej sytuacji konfliktowej”. W dokumencie mówi się m. in.: „Gubernatorzy zobowiązują się do zapobiegania konfliktom społecznym poprzez zbieranie informacji o nielegalnej działalności i nielegalnych zebraniach oraz... do osadzenia w areszcie prewencyjnym osób, podejrzanych o taką działalność.”

W wyższych uczelniach hiszpańskich od lat trwa głęboki kryzys. Miesiącami były zamknięte całe wydziały. Już dwa lata policja nie opuszcza terenu Uniwersytetu Madryckiego. „W 1971 roku, studenci uniwersytetów w Barcelonie, Madrycie i Bilbao stracili cały rok akademicki” — mówi młody naukowiec o poglądach liberalnych. Bardzo niedawno aresztowano w stolicy grupę studentów, którzy kolportowali ulotki, nawołujące robotników i studentów do solidarności ze strajkującymi robotnikami w El-Ferrol.

Drugą przyczyną zaniepokojenia reżimu jest gwałtowna zmiana orientacji hiszpańskiego kościoła. Poglądy 70 proc. — spośród 29.000 hiszpańskich duchownych — uważa się dziś za postępowe. Nieomal każdego dnia ukazują się wrogie reżimowi oświadczenia wysokiej hierarchii kościelnej. Szczególny gniew frankistowskiego reżimu wywołał opublikowany dokument komisji episkopalnej, który demaskuje „zafalszowany pokój, narzucony siłą, która wszechwładnie panuje w Hiszpanii od czasu, gdy umilkły armaty”. Państwo — zagroził Franco — nie będzie patrzeć z założonymi rękami na wyraźne akcje o charakterze świeckim, podejmowane przez niektórych przedstawicieli kleru.

— Dla wielu ludzi, jedyną nadzieją jest działanie Komisji Robotniczych — mówi młody ekonomista, Ramon Tomases.

Wzrost popularności Komisji Robotniczych jest związany z pojawieniem się nowego pokolenia aktywistów związkowych, którzy wyrosli po wojnie domowej i przeszli szkołę walki podziemnej. Zrodzone w 1962 r., w trakcie strajków w Asturii, Komisje Robotnicze, kierowane przez członków Komunistycznej Partii Hiszpanii i aktywistów katolickich, dały znać o sobie w Bilbao w 1964 r. Dziś Komisje Robotnicze stanowią siłę, z którą musi się liczyć reżim. Wyszyły one już z głębokiej konspiracji, chociaż nadal są wyjęte spod prawa. Rola tych Komisji jest tym większa, iż przyjęły one taktykę „wstąpienia” do oficjalnych związków zawodowych. Obecnie w wielkich zakładach produkcyjnych co drugi delegat jest aktywistą Komisji Robotniczych. I wiedzą o tym wszyscy.

Metody stosowane w fabrykach są charakterystyczne dla całego kraju. Władza państwowa rozporządza ogromnym aparatem represyjnym: „policja armada”, co w rodzaju specjalnych sił porządkowych, liczy 25.000 ludzi, „guardia civil”, czyli żandarmeria — 70.000 ludzi, zwyczajna policja — 10.000, nie licząc dziesiątków tysięcy informatorów. Wreszcie wojsko: 280.000 szeregowców, 800 generałów, ponad 50.000 oficerów niższych stopni i podoficerów. Co w takich warunkach może spowodować obalenie reżimu frankistowskiego? Zastanawiają się tutaj nad tym wszyscy, chociaż nikt nie poważy się mówić o tym jawnie.

Słyszysz tu i ówdzie, że armia sympatyzuje z oficjalnym następcą Franco na stanowisko głowy państwa — księciem Juanem — Carlosem. Poparcie armii jest dla niego silnym atutem,

Bez wojska, jak się mówi w Hiszpanii, nie można rządzić. Co więc zrobi Juan Carlos? Tego nikt nie wie. A on sam uparcie milczy. „Być może dlatego — snuje domysły pewien znawca tutejszych stosunków — że wie doskonale, iż caudillo nikogo nie słucha i działa sam”. Czy jednak, dyskutując poparcie ze strony „Opus Dei” (reakcyjna organizacja katolicka)

oraz ze strony silnego ugrupowania burżuazji przemysłowej, znajdującej się pod wpływem zachodnioludniemieckiego kapitału, Juan — Carlos nie okaże się „słomianym królem” w rękach „żelaznego kanclerza”, którym może się stać pewnego dnia obecny wiceprezydent rządu, admirał Carrero Blanco? Za wcześniej jeszcze szukać odpowiedzi na to pytanie.

Pod naciskiem faktów

„BLAETTER FUER DEUTSCHE UND INTERNATIONALE POLITIK” — KOLONIA.

Prognozy zwolnienia w najbliższym czasie konferencji w sprawie bezpieczeństwa w Europie stają się coraz bardziej pomyślne. I im bardziej zbliża się czas spełnienia tego zamierzenia, tym mocniej wpływowe siły polityczne w Europie odczuwają potrzebę określenia swego stosunku do problemu bezpieczeństwa na naszym kontynencie.

Dotyczy to także socjaldemokracji zachodniej Europy, ponieważ w szeregu krajów europejskich albo stoi ona u steru władzy, albo wywiera poważny wpływ na sytuację polityczną. Ich linia działania może mieć pozytywne lub negatywne skutki dla rozwoju wydarzeń w Europie, może pomagać w wysiłkach umocnienia bezpieczeństwa lub im przeszkadzać.

Dla niektórych partii socjaldemokratycznych proces przystosowania się do nowej sytuacji w Europie jest bolesny. Dotyczy to tych partii, które po II wojnie światowej aktywnie uczestniczyły w „zimnej wojnie” po stronie USA, brały udział w utworzeniu NATO, jako narzędzia wojennej polityki „odstraszenia” krajów socjalistycznych i krzątały się wokół rozbudowywania antykomunistycznej histerii. Związku Radzieckiego nie udało się „rzucić na kolana przy pomocy polityki z pozycji siły”. Dzięki rosnącej potęgę ZSRR rozsypały się w proch nadzieje na antykomunistyczny pochód krzyżowy.

Jednocześnie najpotężniejsze państwo NATO, Stany Zjednoczone, rozpętały agresję w Indochinach, popadły w głęboki ekonomiczny, polityczny i moralny kryzys. Francja wyszła z wojskowej organizacji NATO. Socjaldemokratyczne partie Francji, Danii, Norwegii, Belgii, Holandii i Luksemburga dokonały przeglądu swej dotychczasowej polityki. Były zmuszone to uczynić pod wpływem zmian w świadomości politycznej społeczeństwa swoich krajów. Stosunek tych partii do NATO i do imperializmu USA stał się bardziej chłodny i krytyczny. Przykładem tego procesu odchodzenia od NATO są Malta i Islandia. Na Malcie, rządząca partia socjaldemokratyczna zaczęła prowadzić politykę ograniczania wpływów NATO na wyspie. W Islandii jest trochę inaczej. Tam, socjaldemokratyczna partia Islandii, w ostatnich wyborach do parlamentu, straciła niemal połowę swych zwolenników na korzyść lewico-

wych socjalistów i komunistów. Lewicowy rząd wziął kurs na wyprowadzenie wojskowych kontyngentów amerykańskich NATO z terytorium Islandii.

Jednym z decydujących momentów takiej zmiany orientacji jest rosnąca świadomość, iż przy nowym układzie sił w Europie, nagromadzeniu współczesnych środków prowadzenia wojny oraz pocisków jądrowych ogromnej mocy w samym sercu Europy, staje w obliczu straszliwej groźby samo istnienie narodów europejskich.

Socjaldemokratyczne partie krajów neutralnych mają jeszcze dodatkowy powód do zajęcia takiego stanowiska: osłabienie wysiłku zbrojeń i rozwiązanie bloków wojskowych umocniłyby suwerenność tych krajów i stworzyły lepsze perspektywy rozwoju ich ekonomiki i handlu.

Jak daleko w niektórych partiach socjaldemokratycznych zaszła rewizja ich poprzednich pozycji, wskazuje przykład holenderskiej Partii Pracy. Niegdyś była ona gorącym zwolennikiem kursu NATO. Jednakże w swym nowym programie (1969 r.) występuje ona „za stworzeniem systemu bezpieczeństwa europejskiego, który powinien stanowić efektywną gwarancję niekalkulacji i niezawisłości wszystkich uczestniczących w nim krajów, zastępując Układ Warszawski i Pakt NATO”.

Mimo istniejącej różnicy zdań w ocenie licznych problemów, socjaldemokratyczne partie zachodniej Europy coraz bardziej utwierdzają się w przekonaniu, że przy rozstrzygnięciu problemów europejskich należy bezwarunkowo opierać się na istniejących w Europie realnościach terytorialnych. Właśnie dlatego zawarcie porozumień NRF ze Związkiem Radzieckim i Polską spotkało się z wyraźnym zadowoleniem większości partii socjaldemokratycznych i socjalistycznych.

Proces zmiany orientacji zachodniopolskiej socjaldemokratycznej w zagadnieniach polityki europejskiej jeszcze się nie zakończył. Niemniej, wewnątrz partii socjaldemokratycznych nabierają siły te nurty, których przedstawiciele nie chcą więcej zamykać oczu na dążenia narodów, w tej liczbie również szerokich kręgów zwolenników partii socjaldemokratycznych, do bardziej realistycznej polityki odprężenia międzynarodowego z uwzględnieniem zmieniającego się układu sił w Europie.

● Zewsząd o wszystkim ●

Nie ułatwiali też pracy nauczycielowi kolejne zmiany programów, kolejne, nie doprowadzane do końca, reformy oraz liczne obowiązki społeczne. Szczególnie w małych ośrodkach, obok zasadniczej pracy pedagogicznej nauczyciel musiał być „człowiekiem do wszystkiego” — aktywistą, działaczem kulturalnym, opiekunem społecznym, walczył z alkoholizmem, krzewił kulturę świecką, zbierał składki na społeczne fundusze i organizował życie sportowe. Lista pozaszkolnych obowiązków mogłaby być jeszcze dłuższa. Te wszystkie trudności powodowały, że wśród nauczycieli nie wszyszc mogłoby pretendować

„Karta” wprowadza jednolite miano nauczyciela zarówno dla wychowawczyń przedszkoli, jak i dla nauczycieli szkół podstawowych, zasadniczych zawodowych i średnich oraz miano nauczyciela

Przyjrzyjmy się na przykładzie Łodzi zmianom, do jakich przygotowuje się świat nauczycielski. W mieście pracuje obecnie w pełnym wymiarze godzin 7.684 nauczycieli i wychowawców. Poza

Wśród zatrudnionych w pełnym wymiarze godzin, w łódzkiej szkole i placówkach oświatowych wszystkich typów, jest 29,3 proc. nauczycieli i wychowawców z wyższym wykształceniem, 51,4 proc. z półwyższym, 19,2 proc. ze średnim i 0,1 proc.

"Karta praw i obowiązków nauczyciela" daje możliwość przenieszenia z urzędu nauczycieli na emeryturę, gwarantując im jednocześnie wysokie emerytalne uposażenie. Przewiduje się, że do 1975 roku odejdzie ze szkół w Łodzi przeszło 1.700 osób. Na ich miejsce powinni przyjść absolwenci szkół wyższych. Zmieniliby to dotychczasową sytuację, kiedy to absolwenci niektórych kierunków uniwersyteckich mają duże trudności ze znalezieniem pracy w szkole. Na przykład w tym roku szkolnym, na 74 absolwentów, którzy zgłosili się do łódzkich szkół, można było zatrudnić tylko 23 osoby. Należy się też spodziewać, że po zmianie warun-

Na marginesie tych rozważań można też zastanawiać się, czy zawód nauczycielski, dokładnie już teraz sferminizowany, stanie się atrakcyjny dla mężczyzn. Jeśli nawet tak to znów trzeba wziąć tu pod uwagę perspektywę kilku, a nawet kilkunastu lat.

Dalszy ciąg na str. 5

W 80 rocznicę „Buntu Łódzkiego”

Pierwsze poruszenie mas zaczęło się 28 kwietnia. W dniu tym pod bramami dwóch wielkich fabryk - Lorenza i Poznańskiego zaczęli gromadzić się robotnicy. Do akcji przystąpiła policja. Rozpoczęły się aresztowania i przesłuchania robotników fabryki Poznańskiego.

W dniu tym poruszenie zaznaczyło się w 8 fabrykach łódzkich. Były to przeważnie średnie fabryki. Ogółem w dniu tym akcja objęła około 1500 robotników. Czynnie zastrajkowało 5 fabryk. Robotnicy zachowywali się jednak spokojnie. Władze oczekiwali następnego dnia. Tymczasem w dniu 3 maja do strajku przystąpiły inne fabryki. Łącznie zastrajkowało 3400 robotników. Doszło do pierwszych starć z policją. W dniu tym do akcji przystąpili robotnicy fabryki Juliusza Heinza, gdzie pracowało ponad tysiąc robotników oraz Allarta (815 robotników). Ogółem

Gubernator Miller zaniepokojony rozszerzaniem się strajku, w depe-szy i raporcie do generał-guberna-tora warszawskiego Hurki doniósł, iż nazajutrz należy się spodziewać dalszego rozwoju akcji strajkowej. Istotnie gubernator nie pomylił się.

Dalszy ciąg na str. 4

CZAS I PAMIĘĆ...



„Pierwszoplanowym zadaniem jest zniszczenie Polski” — oświadczył Hitler 22 sierpnia 1939 r., na tajnej naradzie dowódców Wehrmachtu w Obersalzbergu. Ten nakaz podjęły wszystkie siły agresji hitlerowskiej: Wehrmacht, władze okupacyjne, aparat policyjny III Rzeszy, SS, Gestapo i inne formacje, dokonując w Polsce największych i najcięższych zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości. Przez pięć lat okupacji ziem polskich codzienną praktyką władz hitlerowskich były mordy, wysiedlanie, wywłaszczanie, niewolnicza praca. Kraj zamienił się w jedną wielką kaziń. Hitlerowcy popełnili w Polsce ponad 50 tysięcy mordów indywidualnych i masowych w około 20 tysiącach miejsc zbrodni.

Od pierwszych dni wojny datuje się metodyczna, zorganizowana akcja niszczenia narodu polskiego. Na terenie Polski okupant-ludobójca zorganizował 3.890 obozów koncentracyjnych i ośrodków zagłady, podobozów i komand, obozów przejściowych, jeńskich, więzień i gett. Zamordowano w nich ponad 6 milionów Polaków. Na zagładę byli skazani — w myśl programu polityki III Rzeszy Niemieckiej — wszyscy postępowi ludzie, wszyscy patrioty, wszyscy członkowie ruchu oporu, wszyscy wrogowie faszyzmu i hitleryzmu, wszyscy Słowianie...

Męczeństwo stało się tragicznym udziałem narodu polskiego i wszystkich okupowanych przez III Rzeszę narodów Europy. Męczeństwo, jakiego nie zna historia świata. Nie może więc pójść w niepamięć najmniejsza cząstka prawdy o tej gehennie, nie może też pozostać owa wielka zbrodnia bez kary.

W kwietniu — miesiącu pamięci narodowej powracamy co roku do odległych w czasie lat tragedii narodowej. Czas nie zacierza grozy tamtych lat, nie łagodzi bólu, nie osłabia pamięci. I nie może osłabić. Prawda jest wyrazista, udokumentowana, wzbogacona coraz nowymi materiałami i argumentami, których nie można zniekształcić. Ziemia ciągle jeszcze odkrywa mogiły masowo mordowanych, a w nadziejach żyjących, którzy stracili najbliższych, jawią się jeszcze ciągle postacie zaginionych, których los nie jest znany. I płyną jeszcze wezwania — jak w apelu poległych — wołające o sygnał życia. Odpowiedzi nie ma...

Konwencja ONZ o nieprzedawnieniu zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości oraz prawo norymberskie, sformułowane w Statucie i Wyroku Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze, stanowią dla Polski

podstawę ścigania i karania zbrodniarzy hitlerowskich. Są one prawem i zobowiązaniem wobec ofiar ludobójstwa hitlerowskiego — do ścigania i sprawiedliwego ukarania sprawców tego ludobójstwa. Zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciwko ludzkości stanowią bowiem najcięższe przestępstwa w świetle prawa międzynarodowego.

Minęło 27 lat od rozpoczęcia procesu przeciwko głównym zbrodniarzom hitlerowskim przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości w Norymberdze. Stał przed sądem ludzkości ci, którzy podeptali poczucie prawa, sprawiedliwości i moralności, dokonując potwornych zbrodni na narodzie polskim, na narodach Europy, na własnym, niemieckim narodzie. Ale od tego czasu — po dzień dzisiejszy — nie skazano w NRF żadnego spośród tych zbrodniarzy hitlerowskich, którzy działali w centralnych instytucjach III Rzeszy, ani odpowiedzialnych za takie zbrodnie, jak wymordowanie ponad 48 tysięcy przedstawicieli inteligencji polskiej, czy masowe egzekucje jeńców wojennych. Łącznie w NRF skazano około 6.270 zbrodniarzy hitlerowskich, w NRD natomiast — 12.800. Praktyka ścigania i karania jest różna w dwóch państwach niemieckich. A obliczono, że na jednego skazanego zbrodniarza w NRF przypada 40 tysięcy zamordowanych przez niego ofiar. *)

W Polsce prowadzi się jeszcze około 7 tysięcy śledztw w sprawach zbrodni popełnionych przez hitlerowców. Będziemy przypominać zbrodnie, będziemy ścigać zbrodniarzy. Nie przyświeca temu cel zemsty, odwetu, czy podsyca nienawiści jednego narodu do drugiego. Układ Polska — NRF o normalizacji stosunków akcentuje spojrzenie w przyszłość. Nie oznacza to jednak, że kiedykolwiek zapomnimy w Polsce o czasach pogardy i zbrodni i nie przestaniemy ścigać winnych, dopóki nie będą ukarani. Będziemy tak postępować w imię poczucia sprawiedliwości i dlatego, aby doprowadzić do przezwyciężenia reliktyw przeszłości hitlerowskiej, aby można było uchronić obecną i przyszłe pokolenia przed nowymi dramatami.

Przypominając apokaliptyczne zbrodnie hitleryzmu, i domagając się ukarania ich sprawców, wypełniamy obowiązek wobec nas samych i wobec młodzieży, która musi być wychowywana w przeświadczeniu, że gwałt, agresja, rabunek, ludobójstwo nie mogą pozostać bezkarne. Jesteśmy winni nieustającą pamięć i cześć prochom pomordowanych — milionom ofiar masowych egzekucji, ludziom spolekłym w piecach krematoryjnych, zamęczonych w lochach więzień, zaduszonych w komorach gazowych — męczennikom, których „winą” była przynależność do narodu polskiego.

Stawiamy pomniki męczeństwa i chwały. O pamięć proszą nas miliony niewinnych ofiar. Będziemy więc pamiętać i ostrzegać.

*) Dane z Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce.

1 TRIENNALE
TKANINY
PRZEMYSŁOWEJ
I UNIKATOWEJ
ŁÓDŹ — 1972



PREZENTUJEMY UCZESTNIKÓW

ZOFIA LITAK studiowała w łódzkiej Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych, gdzie też w 1952 roku uzyskała dyplom na Wydziale Tkactwa. Najpierw po studiach pracuje w przemyśle jako projektant przemysłowy, a następnie od 1956 roku jest pracownikiem dydaktycznym na Wydziale Tkactwa w swej rodzinnej uczelni. Należy do Łódzkiej Grupy Artystów Tkaczy „ATE”. Wiele wystawia w kraju i za granicą. Z okazji Igrzysk Olimpijskich bierze udział w wystawie tkanin unikatowych w Meksyku, gdzie zresztą jeden z jej gobelinów zostaje zakupiony. Prace jej znajdują się ponadto w Muzeum Historii Włókiennictwa w Łodzi.

Zofia Litak operując klasyczną techniką gobelinu przywiązuje ogromną wagę do koloru. Jej tkaniny komponowane są w sposób często przypominający kompozycje malarzkie, pełne nastroju, poezji i subtelnych zestawień kolorystycznych.



Zofia Litak — „UKWIAŁY” — gobelin

W 80 rocznicę „Buntu Łódzkiego”

Dalszy ciąg ze str. 3

Fo kilkugodzinnym spokojnym ranku — policmajster Danileczuk wystosował depeszę do Piotrkowa, w której doniósł o przystąpieniu do strajku 8 nowych fabryk. Fabrykanci przeżali sytuacją, w depeszach do Piotrkowa i Warszawy donieśli o udziale w strajku 30 tys. robotników. Po południu sytuacja zaostrzyła się jeszcze bardziej. Fabrykanci, w drugiej depeszy tego dnia wysłanej do Warszawy, z przerażeniem donoszą, że „strajk zwiększa się z każdą minutą”. Wieczorem akcja objęła już trzydzieści kilka tysięcy.

Robotnicy zachowywali się bardzo poważnie. Często dawały się słyszeć pieśni — między innymi „Jeszcze Polska” i „Boże coś Polskę”. Według opinii Humnickiego — postawa robotników była pełną godności i taktu w postępowaniu.

Wobec szerzącej się akcji fabrykanci błagali o pomoc. Na pomoc policji oddelegowano dwie rotę piechoty do patrolowania oraz batalion dla rozprawiania

większego zbiegowiska. Pod wieczór tego dnia przybył gubernator Miller, który w piśmie ściśle tajnym do warszawskiego general-gubernatora w następujący sposób przedstawił sytuację: „Przybywszy do Łodzi w dniu 5 maja i objechawszy znaczną część miasta stwierdzam, że sprawa przybiera bardzo poważne rozmiary: strajk stał się powszechnym i robotnicy w liczbie około 30 tysięcy ludzi beczynnie kręcą się po ulicach, lub stoją gromadami, przeważnie na skrzyżowaniach, przy czym pijanych dotychczas nie zauważono i żadnych zamieszek dotychczas oni nie wszczęli. Wszyscy fabrykanci spodziewając się groźnych następstw takiego powszechnego strajku i nagromadzenia robotników, skryli się. Policja rozprędała zbierające się tłumy, ale bezskutecznie, dlatego, że rozpędzani z jednego miejsca, zbierali się natychmiast w drugim, a dla ogólnego przywrócenia porządku i zmuszenia robotników do rozejścia się do domów, ona (policja), przy aktualnym żalosnym stanie liczebnym była zupełnie bezsilna...”

W dalszym ciągu swego raportu gubernator wyjaśnił, że ogólny strajk robotników w Łodzi był spowodowany oddziaływaniem na nich rewolucyjno-socjalistycznych odezw (w języku polskim), rozprzestrzenianymi wśród nich w olbrzymiej ilości egzemplarzy... i że temu energicznemu oddziaływaniu na robotników bezsprzecznie pomagali nieznani agitatorzy, którzy zdolali uczestniczyć we wszystkich większych fabrykach...”

Następnego dnia na wezwanie gubernatora na ulice miasta wkroczył cały pułk wojska oraz 60 kozaków. Widząc jednak bezskuteczność tej akcji polecił ogłosić ostrzeżenie. Ogłoszenie to nie odniosło jednak pożądanego skutku. Wkrótce zostało zdarte z murów. W tej sytuacji general-gubernator Hurko wydał polecenie użyć broni siecznej i palnej.

W piątym dniu strajku do akcji przystąpiło szereg nowych fabryk. W dniu tym stanęła w bezruchu już cała Łódź. Strajk objął już ok. 60 tys. robotników. Był to nieznan dotychczas w dziejach Polski,

a nawet w całej Europie wypadek. Szóstego maja do akcji przystąpiły dalsze oddziały wojska. Na miasto rozesłano patrole, które miały rozprędać grupujących się robotników.

Gubernator Miller usiłował przemówieniami uspokajać robotników. Te nie odniosły jednak skutku. Wojsko zaczęło energiczne działania, w wyniku czego doszło do starć. Niedługo na ul. Konstantynowskiej (Obrońców Stalingradu) padły pierwsze ofiary. Podobne zajścia miały miejsce w szeregu innych punktach miasta, o czym szybko doniesiono do Warszawy. W odpowiedzi general-gubernator Hurko miał dać słynne polecenie: „Strelat, patronów nie żałuj!”.

Wojsko i policja postępowały coraz bezwzględniej. Już w pierwszym dniu aresztowano około 100 osób, wobec których zastosowano kary cielesne. Padło wielu zabitych i rannych. Zagraniczna prasa podała, że padło ponad 200 ofiar. Polskie pisma liczbę ofiar określiły na 100—140.

Wieczorem tego dnia sytuacja uspokoiła się. Rano następnego dnia przybyły z Sieradza dwie dalsze sotnie kozaków. Przez cały dzień ulice były przepelnione patrolami i dokonywano dalszych aresztowań.

O ile w Łodzi strajk doznał pewnego osłabienia i wojsko zdołało

opanować sytuację o tyle w Pabianicach i Zgierzu tego właśnie dnia strajk się ożywił.

W dniu 8 maja na terenie miasta słyhać było jeszcze strzały. Następnego dnia zaczął się upadek strajku. W dniu tym zaczęto uruchamiać fabryki, jednak nie wszyscy robotnicy przystąpili do pracy. W dniach 10 i 11 maja większość robotników przystąpiła do pracy. W drugiej połowie tygodnia 12—13—14 maja — praca w fabrykach przebiegała już normalnie. Jednak po mieście krążyły alarmujące wiadomości, które przerażały fabrykantów.

Tymczasem władze kontynuowały aresztowania. Aresztowano 348 osób. Aresztowania trwały ponad trzy miesiące. Ogółem aresztowano około 900 osób. We wrześniu i październiku odbyła się sprawa przed Sądem Okręgowym w Piotrkowie. Większość została skazana na kary więzienia.

Strajk został złamany. Jednak w świadomości proletariatu łódzkiego utrwaliło się przekonanie, że sam może wywierać wpływ na swój los.

Fabrykanci natomiast otrzymali ostrzeżenie, że przestali być wszechwładnymi.

Od tej pory rokrocznie robotnicy Łodzi coraz odważniej święcili swoje 1-majowe święto.

MIECZYSLAW BANDURKA

Niezmienne, od wielu lat, od-
wiedza dyrektora Andrzeja
Hundziaka w straszliwym gma-
szysku szkoły muzycznej przy ul.
Jaracza 19. A przecież nowy bu-
dynek wznoszony dla szkoły, przy
ul. Szczecińskiej, miał być goto-
wy w tym roku?

— Zaczyna pani rozmowę od
najmniej przyjemnego tematu.
Niestety, termin oddania gmachu
znow się odwołuje. Kolejna data,
jaką nam podano, to wrzesień
1973 roku. Ale i ten — oby był
dotrzymany. Ciągłe „poślizgi”
opóźniają budowę. A przecież to
jedyna w tej pięciolatce duża in-
westycja kulturalna. Był to pro-
jekt nietypowy, wymagający jed-
nostkowych rozwiązań. Projektan-
ci zmieniali się, co nie wy-
szło projektowi na dobre. Już
dziś istnieje konieczność przepro-
wadzenia korektur w trakcie budo-
wy.

— Z pierwszego Pańskiego zda-
nia wynika, że ma Pan nowiny
ciekawsze. Domyślam się o co
chodzi. Niedawno, w telewizyjnej
„Godzinie Orfeusza” prezentowa-
no 12-osobową ekipę polskich
kandydatów na Konkurs im. Wie-
niawskiego, który odbędzie się je-
sienią tego roku. Wśród absol-
wentów i studentów wyższych
szkół muzycznych znalazły się
dwie uczennice Pańskiego Liceum:
Barbara Górzyska i Zofia Kubers-
ka. To chyba rzadki wypadek
i zaszczyt dla szkoły, która nota-
bene nosi imię Wieniawskiego?

— Istotnie, niezmiennie rzadko
zdarza się, by do tego Konkursu
dopuszczono uczniów. O ile do-
brze pamiętam, zdarzyło się to
tylko raz — w przypadku Kaji
Danczowskiej. Nasze dziewczęta
kończą w tym roku liceum, a
więc przed Konkursem czeka je
jeszcze egzamin maturalny. Oby-
dwie są uczennicami docenta Ze-
nona Płoszaja, a więc jego to
przed wszystkim satysfakcja i
sukces.

— A więc gratulacje szkole, pe-
dagogom i uczniom. A teraz mo-
że o sprawach bardziej powszed-
nich. Czy to prawda, że dokonana
już została reforma szkolnictwa
muzycznego?

— Tak. Dyskusja nad tą spra-
wą trwała kilka lat. Jest to kon-
sekwencją reformy szkolnictwa
ogólnokształcącego — wprowadze-
nia 12-letniego systemu nauczania.
Szkoly tego typu co nasza, dwu-
stopniowe kształtujące w zakresie
przedmiotów muzycznych i ogólnych,
objęte zostały tą reformą
i przyjęły 8-letni cykl nauczania
w szkole I stopnia i 4-letni w
liceum. Natomiast szkoły uczące
tylko przedmiotów muzycznych
pozostały przy dawnym systemie
7-letniej szkoły I stopnia i 5-let-
niej II stopnia. Stwarzało to wie-
le niedogodności, m. in. nierówny
start dla absolwentów obu typów
szkół, a także utrudniało ewen-
tualne przeniesienie się z jednej
szkoły do drugiej.

Od września, czyli od nowego
roku szkolnego, wchodzi w życie

SZKOŁA - KONKURS - MUSICAL

ROZMAWIAMY Z DYR. — ANDRZEJEM HUNDZIAKIEM

ujednolicony system nauczania w
szkołach muzycznych obu typów:
6 lat szkoły I stopnia i 6 lat szko-
ły II stopnia. Jest to decyzja bar-
dzo słuszną. Przede wszystkim
bowiem skraca okres nauki selek-
cyjny, umuzykalniający, bo tak
trzeba traktować muzyczną szko-
łę I stopnia. Przedłuża natomiast
naukę w szkole II stopnia, do
której wstępuje już młodzież zde-
cydowana w wyborze zawodu
muzyka. Nowy system nauczania
ma jeszcze dodatkowy plus. Prze-
dłużenie do sześciu lat nauki w
liceum, pozwoli nam przyjmować
tu kandydatów rozpoczynających
dopiero naukę gry na wszystkich
instrumentach orkiestrowych (po-
za fortepianem i instrumentami
smyчковymi z wyjątkiem kon-
trabasu).

— Oznacza to, że młodzież
szczególnie utalentowana muzycz-
nie, po sześciu klasach podstawo-
wej szkoły ogólnokształcącej bę-
dzie mogła kontynuować naukę w
średniej szkole muzycznej, zdoby-
wając jednocześnie zawód muzy-
ka. W tej sytuacji szczególnie
istotne znaczenie mieć będą przed-
mioty muzyczne, umuzykalnianie
w szkołach ogólnokształcących,
budzenie zamilowań muzycznych,
odkrywanie zdolności, o których
ani rodzice ani dzieci mogą nie
wiedzieć. Ale to już całkiem in-
ne zagadnienie.

Panie, dyrektorze, od dłuższej
chwili uwagę moją przyciąga le-
żący na Pana biurku egzemplarz
„Kuriera Warszawskiego”, który
wygląda na całkiem przedwojen-
ny.

— Niezupełnie. W formie „Ku-
riera” z lat trzydziestych, w spo-
sób bardzo pomysłowy, Operetka
Wrocławska wydała program mu-
sicalu „Kariera Nikodema Dy-
my”, którego premiera odbyła się
tam niedawno.

— O ile sobie przypominam, to
w grudniu ubiegłego roku pra-
premierą tego musicalu odbyła się
w Teatrze Muzycznym w Gdyni.
I jak mi wiadomo, jest to musical
„made in Łódź”, bo autorem mu-
zyki jest Pan, libretta — Stani-
sław Powolocki, a tekstów piosen-
nek — Janusz Słowikowski. Nato-
miast łódzki Teatr Muzyczny wy-

stawił musical „made in Gdańsk”
— „Kaper królewski”, z tym że
jego prapremiera odbyła się na
macierzystej scenie, to znaczy w
Gdyni. Czy znaczy to, że autorzy
łódzianie bojkotują swoje miasto?

— Nic podobnego, najpierw
zwróciliśmy się z propozycją wy-
stawienia „Dyzmy” do teatru
łódzkiego. Ale zanim tu zapadła
decyzja, już dyrektor Baduszkowa
zgłosiła się z konkretną propo-
zycją



Fot. E. Kudaj

cją wystawienia „Kariera Niko-
dema Dyzy” w Gdyni. Więc tę
propozycję przyjęliśmy.

— No dobrze, a Wrocław?

— W Łodzi decyzja jeszcze nie
zapadła...

— A szkoda, bo w końcu jest
to pierwszy musical, który po-
wstał w Łodzi i można mniemać,
że jeśli w tak krótkim czasie po
prapremierze bierze go już drugi
teatr, to znaczy, że w tym pierw-
szym cieszy się powodzeniem. Ja-
ki on właściwie jest? Bo prawdę
mówiąc, nie bardzo wyobrażam
sobie „Dyzmę” na rozrywkowej
scenie muzycznej.

— Po gdyńskim przedstawieniu,
recenzenci napisali, że to jest
„coś innego”. Epoka fikcji noga-
mi na scenach muzycznych koń-
czy się i libreciści coraz częściej
szukają natchnienia w dziełach
„nietypowych” dla lekkiej muzy
Stanisław Powolocki sięgnął do
powieści obyczajowej, ale o du-
żym ładunku satyrycznym, za-
wierającej przy tym elementy
dramatyczne. I to właśnie zafra-
powało mnie. Temat wart był po-
szukiwań kompozytorskich. Nie
rezygnując z języka współczesnej
muzyki, starałem się przede wszy-
stkim oddać klimat tamtych lat.
Stąd i echa dawnych form tanecz-
nych i melodie rodem z musicalu
i muzyka dysonansowa.

— Dotychczas znalazłszy Pana
jako kompozytora muzyki powa-
nej. Czy „Dyzma” oznacza od-
wrót od tego gatunku?

— Nic podobnego, jest on nadal
głównym kierunkiem moich po-
szukiwań. I tak np 2 maja w
sali kameralnej Filharmonii
Łódzkiej odbędzie się prawyko-
nanie moich „Nokturnów” —
utworu na bas solo i zespół ka-
meralny (fortepian, harfa, róg i
perkuszja) do tekstów młodego
poety austriackiego K. H. Fenzla,
którego poznałem w Wiedniu.

Poza tym, podczas Łódzkiej
Wiosny Artystycznej chcemy z
Jerzym Bauerem i Kazimierzem
Przybylskim zaprezentować w sali
kameralnej Teatru Nowego nową
formę wykonawczą — teatr in-
strumentalny.

— Może powie Pan na ten te-
mat coś bliższego?

— Jest to po prostu muzyka
której się nie tylko słucha, ale
którą się również ogląda. Muzy-
ka, zrywająca ze statycznością
instrumentów, wprowadzająca do
koncertu ruch i światło, zainscen-
izowana w sposób teatralny, po-
łączona wspólną treścią. Reżyserii
podjął się Jan Skotnicki.

— To brzmi bardzo interesują-
co. Nasza rozmowa obejmowała
tak różne tematy, że trudno po-
dsumować ją jakimś jednym wnio-
skem czy konkluzją. Chyba więc
tylko życzyć Panu można sukce-
sów we wszystkich dziedzinach
łódzkiej pracy.

Rozmawiała:

TERESA WOJCIECHOWSKA

RANGA ZAWODU

Dalszy ciąg ze str. 3

TO DOPIERO POCZĄTEK

„Karta praw i obowiązków nau-
czyciela” to dopiero początek
przemian, jakie czekają system
oświaty i wychowania w Polsce.
Wiadomo, że komisja ekspertów
przygotowuje raport o stanie o-
światy, który przedstawiony w
200 rocznicę powołania Komisji
Edukacji Narodowej ma stanowić
podstawę do gruntownej reformy
modelu kształcenia i wychowania.
„Karta”, wprowadzona w życie
znacznie wcześniej, stwarza wa-
runki dla tej reformy. Dla ich u-
kształtowania potrzeba jednak wy-
siliu wszystkich nauczycieli i
działaczy oświatowych. Nie moż-
na spokojnie czekać na wyniki
pracy ekspertów, uspokajając się
myślą, że wszystko za nas załat-
wią inni.

Troską o przyszły model oświa-
ty nie można obciążać tylko nau-
czycieli. Aby móc domagać się od
szkół dobrze przygotowanych
specjalistów, trzeba najpierw po-
wiedzieć szkole, jakich fachow-
ców będzie potrzebował przemysł
i jakich będą potrzebowały inne
działy gospodarki narodowej.
Trzeba też stworzyć szkole odpo-
wiednie warunki materialne i
techniczne. Nie można przecież
specjalistów dla roku 1975 i da-
lszych lat kształcić na maszynach
przestarzałych już dziś. Trzeba też

odpowiedzieć na pytanie, czy war-
to obciążać uczniowską pamięć —
tak jak to się dzieje do tej pory
— wiedzą typu encyklopedyczne-
go, czy też raczej nauczyć go sa-
modzielności myślenia i umiejęt-
ności dalszego samokształcenia.

Współczesna szkoła ma do roz-
wiązania wiele problemów, któ-
rych nikt za nią nie załatwi, ale
których nie będzie można rozwią-
zać bez pomocy nauki. Na przy-
kład odwieczny problem tzw.
trudnych uczniów. Bez pomocy
medycyny i psychologii nie zlik-
widuje się ani drugoroczności,
ani opóźnień w nauce, ani wielu
innych konfliktowych sytuacji.
Praktyka dostatecznie wykazała,
że sami nauczyciele nie są w sta-
nie tego rozwiązać.

Wymagając od nauczycieli co-
raz wyższych kwalifikacji trzeba
również odpowiednio zmieniać sy-
stemy ich kształcenia. Dziś już nie
wystarczy posługiwać się starą,
zużytą metodyką nauczania, przy-
mykając oczy na zmiany, jakie
niesie ze sobą współczesność. Ale,
aby to było możliwe, szkoła wyż-
sza musi być silnie związana ze
szkolnictwem niższego typu, musi
podejmować badania naukowe
nad metodyką nauczania, poszu-
kując coraz to nowych i doskon-
alszych rozwiązań. I to takich nie
tylko na dziś. „Karta” praw i o-
bowiązków nauczyciela” stwarza
dogodne warunki do swobodnego

przechodzenia najbardziej ambit-
nych, zdolnych i doświadczonych
nauczycieli ze szkół podstawowych
i średnich — do szkół wyższych.
Dopływ tej kadry do szkoły wyż-
szej może sprawić, że w przysz-
łości powiązanie badań nauko-
wych z praktyką będzie i silniej-
sze i skuteczniejsze.

W dyskusjach o wychowaniu,
bardzo często odpowiedzialność za
jego efekty przerzuca się na ro-
dzinę i odwrotnie, zapominając
przy tym, że zarówno szkoła, jak
i rodzice mają wielu sojuszników.
W ich gronie jest ZHP, ZMS, To-
warzystwo Przyjaciół Dzieci, To-
warzystwo Krzewienia Kultury
Świeckiej i inne. W stwierdzeniu
„mają sojuszników” jest dużo op-
tyzmu, bo jakże często są to
sojusznicy przede wszystkim po-
tencjalni. Nie ma korelacji między
tymi organizacjami, nie ma jedno-
litego systemu wychowania, który
pomagałby i szkole i rodzinie.
System ten sam nie powstanie,
a współczesne potrzeby wycho-
wawcze pokazują, że nie można
operować hasłami i deklaracjami,
że potrzeba konkretnego i jedno-
litego działania.

Cel wychowania i nauczania jest
jasny. Mamy wychować współ-
czesnego człowieka, który będzie
aktywnie współuczestniczył w
dalszym rozbudowywaniu Polski.
„Karta praw i obowiązków nau-
czyciela”, podnosząc rangę zawo-
du nauczycielskiego, przyczynia
się do szybszego i skuteczniejsze-
go osiągnięcia tego celu. Trzeba
jednak pamiętać, że jest to do-
pięro początek trudnych, ale ko-
niecznych przemian.

BOGDA MADEJ

POLONICA

FRANCUSKIE PISMO O POLSKIM MALARZU

W 9-tym numerze pary-
skiego czasopisma „Nou-
velles de l'Estampe” (or-
ganie Bibliotheque Natio-
nale) z 1971 roku ukazał
się artykuł Joanny Szcze-
pińskiej o niedawno zmar-
łym polskim malarzu, zna-
komitym uczniu Wyspiań-
skiego, Konstantym Bran-
dlu. Autorka porównuje
naszego artystę z takimi
twórcami, jak John Mar-
tin i Chirico.

SZTUKI POLSKIE ZA GRANICĄ

Łondyński „Teatr 84”,
przy Margaret Street, wy-
stawił sztukę Janusza Kra-
sińskiego, „Czapa czyli
śmierć na raty” oraz
„Świadków, czyli naszą
małą stabilizację” Tadeu-
sza Różewicza. Krytyka
wysoko ocenia oba utwo-
ry.

W Paryżu cieszy się nie-
slabnącym powodzeniem
„Non-stop” Macieja Z.
Bordowicza, wystawiony
dnia 22 lutego w teatrze
Poche-Montparnasse, w
przekładzie i reżyserii

Bronisława Horowicza,
który w latach ubiegłych
wystawił w radio pary-
skim „Dwa teatry” Sza-
niawskiego i sztuki S. I.
Witkiewicza.

„Czapa” Krasńskiego na-
dawana była w teatrze ra-
diowym wielu krajów, a
scena w Tallinie zagrała
komedię tego autora „Fi-
lip z prawdą w oczach”.
W. N.

WYMIANA OPEROWA

W styczniu 1970 roku, w
Teatrze Wielkim w Łodzi
odbyła się premiera „Lo-
hengrina” Ryszarda Waga-
nera. Przedstawienie reży-
serował gościnnie Wolf-
gang Wett, a sceno-
grafię opracował Bernhard
Schroeter — obydwaj z
Opery Lipskiej. Obecnie
trwają rozmowy na temat
rewizyjowego występu pol-
skich realizatorów: Marka
Okopińskiego (reżyseria) i
Zofii Wierchowicz (sce-
nografia) w operze
„Gracy” Prokofiewa z li-
brettem według Dostojew-
skiego na scenie Opery
Lipskiej.

(tw)

POLONICA

— To nęcenie jest takie ważne? — ośmielił się odezwać Andrzej.

Szczygieł był tym razem zadowolony z pytania.

— Pytasz jeszcze? Nęcenie przy łapaniu tak jak muzyka do tańca. A teraz jeszcze bardziej potrzebne, bo za moich młodych lat inna woda tu była i inna ryba, i dużo więcej ryb było. Pamiętacie, w ubiegłym roku ile wody było? Można było przejść rzekę, a nóg do łan nie zamoczyć. Gdzie w takiej wodzie porządna ryba ma się trzymać? Dawniej inaczej tu bywało, inaczej... Pamiętam rzekę trzydziści lat temu, sześćdziesiąt i więcej. Głębie były i topiele wielkie, ryba miała gdzie mieszkać, a co za ryby były, ha, ha, niby te same, ale gdzie tam dzisiaj-śm do tamtych. Okonie były garbate i zielone ze starości, węgorz zawsze się trafil, nieraz grubszy niż ręka, szczupaki były takie, że jak stał pod wodą, toś nie myślał inaczej, tylko że pień drzewa leży. Płocie i leszcze za chwast wodny liczyły się wtedy, nikt tego nie brał.

Szczygieł zamilkł na chwilę, poprawił fajeczkę, zapalił i ciągnął dalej: — Uważacie, z tym sumem to było tak. Wszyscy o nim wiedzieli, grasował w naszym jeziorze, co się z rzeką łączy. Grasował, bo musicie wiedzieć, że sum to wielki rozbójnik, jeszcze większy niż szczupak, bo bardziej żarłoczny. Był więc w jeziorze od wielu lat, wszyscy o nim wiedzieli, ale nikt nie miał na niego rady. Próbowali różnie, sieciami i na inne pułapki, ale zawsze uchodził zdrowo, bo był diabło mądre. Przed sieciami zawsze umknął, w jeziorze była dziura, głębia, w której leżały drzewa, pnie wielkie i grube, sieć szła nad tym, a on szedł sobie niżej, do tych jam wśród pni. Pułapki zrywał, jakby to były nitki, tylko brzękało, a na grubsze linki, na których mocowano haczyki, brać nie chciał, bo, jak wiecie, był przebiegły, nie dał się nabrać. Polowali na niego i ludzie z miasta, zawołani wędkarze, sprzęt mieli pierwszorzędnny, bambusy, spinningi z kołowrotkami i żyłki, ho, ho, ho. Musicie wiedzieć, że żyłki nie tak dawno nastaly, za moich młodych lat robiło się wędkę z włosa konińskiego i z linek konopnych. Pamiętam, w trzydziestym szóstym roku to było, wyszedłem sobie w niedzielę popatrzeć na jezioro, zmiarkować, jak miastowi łapia. Zdarzyło się akurat, że jeden taki z miasta, młody i nerwowy, w moich oczach miał branie. Zastawił żywca na szczupaka, na wodzie pływał czerwony, duży korek. W moich oczach zatopił się jak błyskawica i stanął na metr pod wodą, dobrze było widać, że woda była przezroczysta. Nerwowy z miasta skoczył i już chciał ciągnąć, wędkę miał bambusową, z pięć metrów długą. Zatrzymałem go w samą porę i poradziłem, żeby poczekał, nich się szczupak rozsmakuje. Usłuchał mnie i poczekał, a jak potem podciął, to jakby diabła złapał za ogon, wywalił się szczupak z wody, taki ze sześć kilo wagi, dał zaraz nura w wodę i pociągnął, na szczęście, w stronę brzegu. Mój nerwowy spał bambus do góry i ciągnął rybę na siłę, podpowiedziałem mu, żeby popuścił, żeby z wyczuciem, bo wszystko było jako tako, dopóki szczupak szedł pod brzeg, ale widać zmiarkował zaraz, że źle, i pociągnął na wodę. Mój miastowy nie mógł dać rady, wszedł więc w wodę i spojrzał na mnie bezradnie. Patrzyłem na to wszystko i aż mnie mdliło, bo tylko czekałem, kiedy żyłka trzaśnie, ale nerwowy był sympatyczny, więc mu poradziłem jedno, co mógł zrobić: kazałem puścić bambus. Spojrzał na mnie jak na wariata, ale puścił. Bambus poszedł na wodę, jak koń na wyścigach, tylko migał, ale na środku jeziora już zwołnił. Nerwowy patrzył na mnie bezradnie, a ja spokojnie zacząłem się rozbierać. Dzień był pochmurny, nie było za ciepło, ale chciałem miastowemu pomóc, może i moja wędkarska chęćka w tym była, więc rozbrałem się i popłynąłem do bambusa. Kiedy dopłynąłem, bambus stał na wodzie spokojnie, szczupak odpoczywał. Uchwyciłem kij w rękę i pociągnąłem, by sprawdzić, czy się czasem nie odczepił. Nie zrobiłem tego za zrecznie, bo głębia tam była, i szczupak, jak rażony piorunem, znów się wywalił z wody. Było niedobrze, przy takich ko-
złach ryba łatwo może się odha-
czyć, więc puściłem bambus, da-
łem rybie swobodę, bambus płynął
a ja z nim. Szczupak pociągnął
tym razem ze trzydziści metrów

i znów stanął, bo chociaż silny, ciągnął za sobą niemaly ciężar. Na to tylko czekałem, na jego zmęczenie. Kiedy dopłynąłem drugi raz do bambusa, mogłem już stanąć, bo wodę miałem po piersi. Uchwyciłem bambus i już go nie puściłem, szczupak chodził w wodzie bez przerwy, ciągnął mocno, ale zmiarkowałem zaraz, że już nie ma w nim poprzedniej wściekłości. Dałem mu tak chodzić parę minut, wciąż tracił siły i kiedy poczułem, że ma dosyć, popłynąłem trzymając bambus w rękę, do brzegu. Mój miastowy biegł niespokojnie po brzegu, ale głębie miał wesół. Kiedy wyciągnąłem mu szczupaka na brzeg, ucałował mnie z radości. Koniec końców dostałem od niego pięćdziesiąt metrów żyłki, dosyć cienkiej, ale bardzo mocnej. Nie chciałem, ale on nalegał — Szczygieł pociągnął z fajeczki i uśmiechnął się jakby do wspomnień. — Kiedy dostałem tę żyłkę, zacząłem kombinować, jak urządzić dobre wędzisko na szczupaka, zazdrościłem miastowemu dobrego sprzętu. Widziałem u nich kołowrotki — Szczygieł znów się uśmiechnął. — Pełno teraz tego,

dokoła, tylko ryba splawiła się czasem, gdy usłyszałem nagle jakby wybuch. To był on, mój sum. Wyrzucił się z wody w pogoni za półkilową płocią, trzasnął w wodę ogonem i zniknął pod jej powierzchnią tak nagle, jak nagle się pokazał. Ręce mi się trzęsły z przejęcia, wyciągnąłem wędkę, założyłem drugiego, świeżego żywca i wyrzuciłem na wodę. Wiecie, że odnoga nie jest duża, no, taka jak dobry gospodarski staw, pomyślałem więc sobie, że jak już tu na niego trafiłem, jak już akurat grasuje, powinien trafić do jego żywca. Ledwo o tym pomyślałem, a już mi ciarki przeszły po krzyżu, bo w tej samej chwili mój korek utonął... Utonął, ale nie stanął zaraz gdzieś w wodzie, jak to przy szczupakach się dzieje, a szedł. Trzymając kij w rękę widziałem, jak się wysnuwała żyłka z kołowrotka. Z przerażeniem zmiarkowałem, że jeszcze trochę, a wysnuje mi całą żyłkę. Nie było więc rady, musiałem przyhamować. Podciąłem wędzisko jednym wyważonym ruchem i wydało mi się, że złapałem ogiera na sznurek. Do dzisiaj nie

prawo, potem nagle poszedł na mnie. Przeraziłem się, bo na chwilę żyłka dostała luzu, nie mogąc nadążyć ze skręcaniem jej, odbiegłem od wody w pole i niespokojnie spróbowałem: sum był na haczyku. Ten jego błąd dał mi nawiąć na kołowrotek z piętnaście metrów żyłki, ale musiałem ją oddać natychmiast, bo znów uciekał, ciągnąc z poprzednią siłą. Ciągnij, ciągnij, pomyślałem sobie, ja cię trzymam, a ty tracisz siły. — Szczygieł uśmiechnął się i pogłodził wasa. — Opowiada się to wszystko w parę minut, a wtedy trwało to chyba z półgodziny. Pot mi oczy zalewał z wysiłku i przejęcia, sum ciągnął, a ja biegałem po brzegu w jedną i drugą stronę, aż sum postanowił zakończyć całą sprawę.

Szczygieł zamilkł, a chłopcy nie śmieli przerwać ciszy, jaka nagle zaległa w izbie. Patrzyli, jak Szczygieł napełnia fajeczkę nowym tytoniem, jak ją zapala, jak poprawia tłący się już tytoń palcem.

— Na czym to żeśmy stanęli? — spytał spokojnie wydmuchując dym.

raczcie, jak go dostanę, kiedy na-
dejdzie ostatnia chwila walki, je-
żeli zdolam podciągnąć go do
brzegu i zobaczę go z bliska. O
tym, żeby go wyciągnąć tak jak
szczupaka, nie myślałem ani przez
chwilę, wiedziałem, że to niemo-
żliwe. Zły byłem na siebie, że o
wszystkim pomyślałem, tylko nie
o tym, jakim sposobem wydostanę
suma na brzeg. — Szczygieł zmar-
szczył czoło. — Dzisiaj myślę, że
choć na niego polowałem, nie
myślałem nigdy naprawdę, że go
dostanę. Biegałem więc i szuka-
łem wyjścia. Ale miałem szc-
ście. Zobaczyłem w wodzie, tuż
przy brzegu metrowy kij, gruby
jak ręka. Trzymając sumą na żył-
ce, walcząc z nim, w sposobnej
chwili wyrzuciłem kij na brzeg,
ale jak tylko to uczyniłem, zda-
wało mi się zaraz, że niepotrzeb-
nie, bo sum znów zaatakował. Spróbował znów pierwszej sztucz-
ki, tylko że z jeszcze większą
wściekłością. Zdrętwiałem z prze-
jęcia i ze strachu, ale pamiętałem
o wszystkim, nie zrobiłem błędu,
miałem szczęście, znów sum cią-
gnął w wodzie, ale po tym dru-
gim skoku, udało mi się podciągnąć
go trochę, o parę metrów do
siebie. Spokorniejsze, pomyślałem
z radością, ale sum znów wy-
snuł żyłkę, prawie do końca. Od-
zyskiwałem ją powoli metr za me-
trem. Potem, upłynęło chyba zno-
wu z pół godziny, on wysnuwał
żyłkę, a ja ją zwijałem, coraz
bardziej jednak pewny, że go w
końcu dostanę. Wreszcie, trudno
mi dzisiaj pamiętać, jak długo to
trwało, sum zaczął iść do brzegu,
do moich nóg. Kiedy zobaczyłem
go z bliska, znów się przerazi-
łem, był większy, niż myślałem,
tak przynajmniej wyglądało. Na
płytaszewi wodzie pomogło mi ziel-
sko, opłotło cielsko sumą, krępo-
wało mu ruchy, ale i tak, kiedy
uderzył ogonem, to szła do góry
fontanna wody. Kiedy już był ode
mnie na jakieś cztery metry, posta-
nowiłem skończyć. Wziąłem żyłkę
do rąk, ryzykowałem, ale inaczej
nie mogłem, ściągałem ją tak, jak
wyciągacie z góry latawca i w
ten sposób miałem w końcu po-
twora przed sobą. Leżał na płytkiej
wodzie, omotany zieliskiem,
patrzył na mnie wytrzeszczonymi
słapiami, a ja, trzymając żyłkę w
lewej ręce, prawą sięgnąłem po
kij i z rozmachem wałnąłem go
w łeb. Wałnąłem go w łeb z ca-
łą siłą i zdrętwiałem ze strachu:
przy uderzeniu zerwałem sumą z
haczyka.

— O jej! — zawołał z przejęcia Mietek.

— Nie bój się — uspokoił go Szczygieł. — Zerwałem go z haczyka, ale był ogluszony, bo nawet i byk takiego uderzenia by nie wytrzymał. Wziąłem go na obie ręce i wyrzuciłem z wody na brzeg, a potem z dziesięć metrów od brzegu. Stałem nad nim, a nogi pode mną drżały, jakby to ktoś mnie, a nie jego dzielił kijem przez głowę. — Szczygieł spoj-
rzył bystro na milczących chłop-
ców. — Ważyłem go w domu na
pudowej wadze, miał okragłe dwa-
dzieścia kilo i jeszcze tam jakieś
deka...

Fragment książki, która niebawem
ukaze się nakładem WL.

EDWARD KOPCZYŃSKI

„BĘDĘ ORAŁ ŚNIEG”

do wyboru i do koloru, ale wtedy nie było, a jak było, to drogie. Zrobiłem więc taki kołowrotek sam. Wystrugałem z drzewa szpulę, wmontowałem korbekę i zamocowałem to wszystko na kij leszczynowy, dorobiłem przelotki i mogłem łapać nie gorzej od tych, co mieli sprzęt najlepszy. Wtedy właśnie zacząłem chodzić za tym sumem, podpatrywać go...

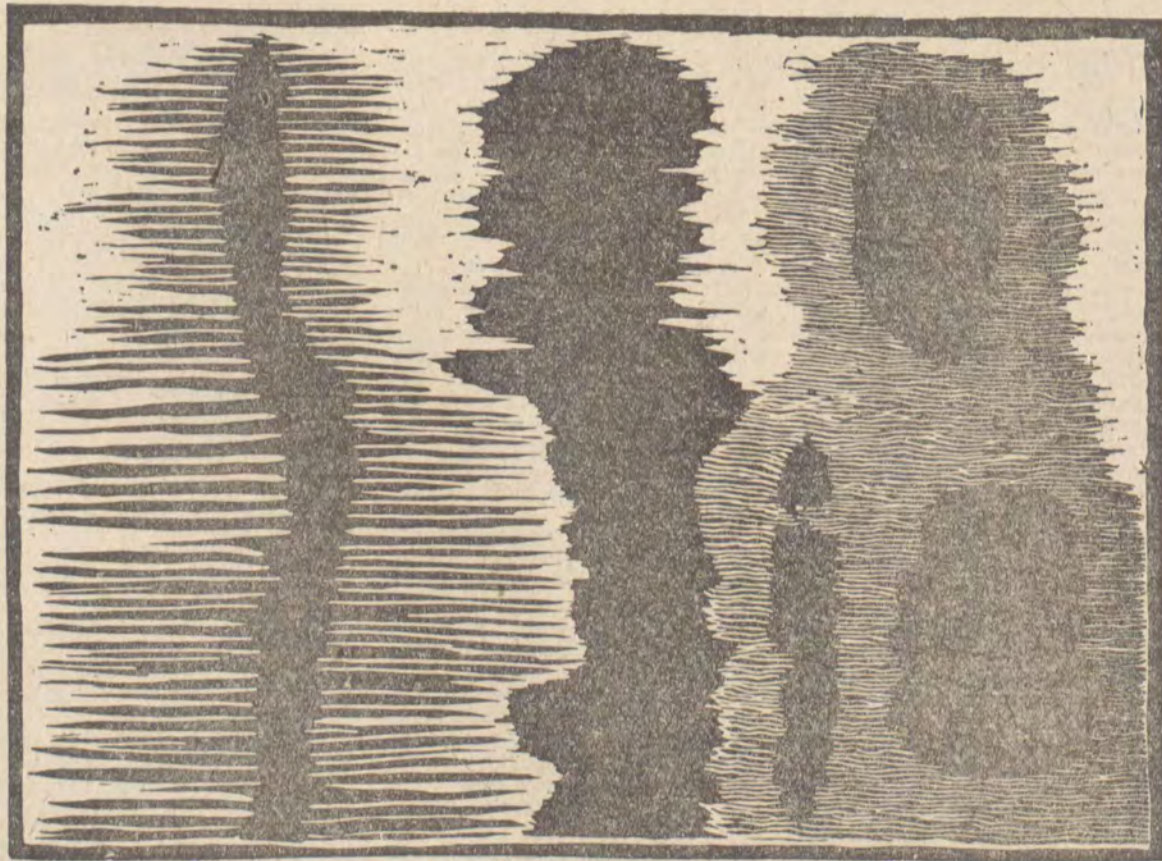
Jacek mrugnął do Andrzeja, jakby chciał powiedzieć „teraz się zacznie”, ale nie uszło to uwadze Szczygla.

— Głupiś kochasiu, jak but, bo myślisz, że stary Szczygieł buja, znam ja was, niedowiarków, i jeszcze raz mówię, zacząłem sumą podpatrywać, by poznać jego zwyczaje. Grasował w jeziorze od lat, nieraz widziałem jego sztuczki. Pływa sobie na przykład kacuszka, skrzydłami wodę bije, bawi się, a tu naraz, bach, i kacuszki nie ma. Zanurkowała, myślicie, gdzie tam, ani jej to w głowie było, sum ją capnął i koniec, nawet jedno piórko się nie pokazało. Szczupaki drobnie bily, raz więcej raz mniej, ale jak on pogonił, to od razu wiadomo było, że on, bo aż się woda otwierała. Kiedy w nocy uderzył, to chociaż człowiek wiedział, że to ryba, strach szedł, aż ciarki po plecach biegły. Chodziłem więc nad jezioro i podglądałem. Poznałem jego ścieżki, ulubione miejsca, pory dnia, w których polował. Było jedno miejsce, które szczególnie sobie upodobał. Jezioro, jak wiecie, ma taki język, przesmyk, którym łączy się z odnogą jeziora, jakby dużym stawem. W tej odnodze szczególnie często otwierała się woda, szczególnie często całe stadka ryb skakały nad wodę w ucieczce przed tym zbojem. Tam właśnie zasadzałem się na niego i w dzień, i w nocy, najwięcej w nocy, bo to jest ulubiona pora żerowania sumów — Szczygieł popukał fajeczką w stół, popatrzył na chłopców i ciągnął: — Pamiętam tak dobrze, jakby wczoraj to było. Przy-
niosłem sobie nad jezioro snopek słomy, wymościłem siedzenie, za-
łożyłem żywca, taką ćwierćkilową
plotkę, wyrzuciłem na wodę, ko-
niec leszczyny wbiłem w ziemię i
czekałem. Wieczór był jasny, na nie-
bo wyszedł księżyc, bardzo dobrze
widziałem na czerwono pomalo-
wany, duży korek, przetknięty bia-
łym, gesim piórem. Nie potrwało
i dwadzieścia minut, a miałem
pierwsze branie. Splawik poszedł
do wody szybko, odczekałem ile
trzeba i miałem dwukilowego
szczupaka. Powinienem być zado-
wolony, bo niedługo był i drugi,
taki z półtora kilo wagi, ale ja już
we łbie miałem tylko tego suma,
na niego polowałem. Była godzina
chyba pierwsza w nocy, cichutko

wiem, jak żyłka to wszystko wy-
trzymała, dlaczego nie trzasnęła
przy pierwszym uderzeniu ryby.
Ani przez chwilę nie wątpiłem,
co jest na podwójnym haczyku.
Tak walczył mógł tylko sum.
Drżąc cały z przejęcia schodziłem
z brzegu do wody, bo on ciągnął
jak wariat, a ja musiałem odda-
wać mu żyłkę, pamiętając wciąż
o jednym, że nie wolno było mi
oddać jej do końca. Zmiarkowa-
łem też od razu, że miałem wy-
jątkowe szczęście, że to wszystko
działo się na odnodze, a nie na
dużej, otwartej wodzie, bo tam
bym go ani na chwilę nie zatrzy-
mał mimo pięćdziesięciu metrów
żyłki. Tu, na odnodze, nie miał
gdzie uciekać, odnoga miała nie
więcej jak sześćdziesiąt metrów
szerokości, ale sum trzymał się
głębokiej wody, nie chciał pójść
na płytką, pod sam brzeg, a to
też dawało mi kilkanaście me-
trów. Pierwszą radość przeżyłem
wtedy, kiedy ciągnąc jak wół na-
głe zmienił kierunek ucieczki. Po-
szedł w prawo, miałem go na ha-
czyku, żyłka, zostało jej nie wię-
cej na szpulę jak z dziesięć me-
trów, nie wysnuwała się już, a ja
biegłem brzegiem, by utrzymać
jednakowe napięcie, by mu nie
dać chwili wytchnienia. Szedł w

— Sum postanowił skończyć całą sprawę — odpowiedział prze-
jęty Mietek.

— Ano właśnie — ucieszył się Szczygieł — postanowił skończyć. Poczułem nagle luz i zobaczyłem sumą nad wodą. Wywalił się nad wodę tak wysoko, jakby ktoś jeszcze bardziej silny od niego stamtąd go wyrzucił. W ciemności, oświetlonej tylko księżycem, błysnął nad połyskującą wodą jakiś upiór, że aż dreszcze po krzyżu mi przebiegły, a i bałem się takich sztuczek, bo ryba, jak się tak rzuci, zwiększa swe siły i bar-
dzo często zrywa się z haczyka,
wystarczy najmniejszy błąd, a na-
wet błędu nie potrzeba. Ale miałem
wtedy szczęście i błędu równie-
ż nie zrobiłem, byłem spokoj-
ny, nie szarpałem kijem, gdy sum
poszedł po wyrzucie do wody,
przyhamowałem tyle tylko ile
trzeba. Ale to wcale nie był ko-
niec, po tym skoku sum chodził
w wodzie jak wściekły pies na
łańcuchu, a ja biegałem jak pa-
sterczka za trzodą. On tu, ja tu, on
tam, ja tam. Biegałem, a radość
we mnie rosła, bo każda minuta
pracowała na moją korzyść, jaki
by ten sum tam nie był, musiał w
końcu przedzej stracić siły niż ja.
Biegając tak, myślałem jak w go-



Jerzy Cichecki — „CIENIE” — linoryt, 1971

JADWIGA ŻURAKOWSKA

JÓZEF RACHWALSKI

Scenograf, grafik, plakacista, artysta, bez którego nie sposób wyobrazić sobie powojennych dzieł łódzkich teatrów. Jego nazwisko związane jest nie tylko z wieloma wybitnymi inscenizacjami Teatru Nowego, gdzie był stałym scenografem, ale również ze scenami teatrów: m.in. Stefana Jaracza, Powstaniego i Opery.

Pierwsze poważne zainteresowanie Rachwalskiego teatrem datuje się od czasów wojny, ściślej biorąc od momentu, gdy po upadku Powstania Warszawskiego znalazł się w obozie dla internowanych oficerów w Muranowie. Działal tam teatr obozowy, plastycy wspólnie projektowali dekoracje i kostiumy, duszą tego teatru, reżyserem i inscenizatorem był Leon Schiller. Po wojnie Schiller zaangażował młodego artystę do Teatru Wojska Polskiego, gdzie przez pierwsze lata był uczniem i asystentem Władysława Dąbrowskiego.

Pierwszą jego pracą (projektowaną wspólnie z żoną Sobolowską) była scenografia do „Kramu z piosenkami” reżyserowanego przez Schillera w 1949 r. W tym samym roku zostaje scenografem Teatru Nowego i tu przez ponad dziesięć lat jest współtwórcą wielu głośnych spektakli tego teatru. Jest to jeden z niewielu przypadków w dziejach współczesnych scen, by scenograf był tak ściśle związany z jednym zespołem i jednym reżyserem. Śledząc zmiany zachodzące w profilu artystycznym Teatru Nowego, odnajdujemy również całą ewolucję, jaką przez ten czas przeszła sztuka Rachwalskiego.

W początkowym repertuarze znajdowały się sztuki współczesne: spod znaku realizmu socjalistycznego: m.in. „Makar Dubrenko”, „Pamięć pedagogiczna”. Scenografia Rachwalskiego jest również realistyczna, może nawet naturalistyczna, idealnie przystająca do tych spektakli. Potem repertuar zmienia się, coraz częściej wchodzi na scenę pożyty klasyczny,

poetycki, gdzie obowiązują już inne kanony inscenizacyjne. Zmienia się również scenografia Rachwalskiego, od naturalizmu przechodzi do neorealizmu, gdzie kończy się i zaczyna rola scenografa, a gdzie reżysera. Najtrafniej chyba określił związek obu artystów Zenobiusz Strzelecki: „...nie dąłoby się odmierzyć, jaki był wpływ teatru Dejmkę na Rachwalskiego, a jaki Rachwalskiego na inscenizację Dejmkę”.

Poza Teatrem Nowym Rachwalski był autorem i współautorem wielu rozwiązań scenograficznych na scenach łódzkich teatrów m.in. do „Pana Geldhaba”, „Kordiana”, „Ondyny” w Teatrze im. Stefana Jaracza, do „Lakme”, „Carmina Burana”, „Strasznego Dworu”, „Cyganerii” i „Halki” na deskach Opery Łódzkiej. Dekoracje do większości wymienionych sztuk są wspólnym dziełem Józefa Rachwalskiego i Ewy Sobolowskiej — Rachwalskiej. Spektakl „Halki” (znów w reżyserii K. Dejmkę)

Należy jeszcze zatrzymać się nad dwiema głośnymi i kontrowersyjnymi inscenizacjami K. Dejmkę — „Noc listopadową” i „Akropolis”. Oba spektakle w swej wizji plastycznej odbiegały całkowicie od opisu podanego przez Wyspiańskiego. Scena w „Nocy listopadowej” była ogromna, czarna przestrzeń, której centralną zabudowę stanowiły szerokie schody potrzebne Dejmkę do komponowania niezwykle scen zbiorowych. Nie ma Łazienek, nie istnieje prawie charakterystyka miejsca akcji. Niekiedy tylko Rachwalski delikatnie zaznacza jakimś szczegółem (kontury pomnika, krata okalająca park, globus u Lelewela) zmianę poszczególnych scen. Artysta posługuje się tutaj skrótem, symbolem, metaforą. Przedstawienie „Nocy listopadowej” intrygowało, budziło zachwyt i głosy sprzeciwu, inspirowało dyskusje, ale było niewątpliwie wspólnym osiągnięciem scenografa i inscenizatora.

Podobnie „Akropolis” (scenografia Rachwalskiego i Zaborowskiej) nie ma żadnego szczególnego, czy obrazu pozwalającego na umieszczenie akcji we wnętrzach Wawelu. Sztuka roze-

grana była na tle czarnych kotar, na scenie znajdowały się jedynie schody i kolumny. Mimo takiego odejścia od Wyspiańskiego, plastyka spektaklu niezwykle silnie działała na widza.

Współpraca Rachwalskiego i Dejmkę przyniosła nieoczekiwane, interesujące efekty: scenografia była zawsze zgodna idealnie z całością inscenizacyjną, niekiedy trudno rozgraniczyć, gdzie kończy się i zaczyna rola scenografa, a gdzie reżysera. Najtrafniej chyba określił związek obu artystów Zenobiusz Strzelecki: „...nie dąłoby się odmierzyć, jaki był wpływ teatru Dejmkę na Rachwalskiego, a jaki Rachwalskiego na inscenizację Dejmkę”.

Poza Teatrem Nowym Rachwalski był autorem i współautorem wielu rozwiązań scenograficznych na scenach łódzkich teatrów m.in. do „Pana Geldhaba”, „Kordiana”, „Ondyny” w Teatrze im. Stefana Jaracza, do „Lakme”, „Carmina Burana”, „Strasznego Dworu”, „Cyganerii” i „Halki” na deskach Opery Łódzkiej. Dekoracje do większości wymienionych sztuk są wspólnym dziełem Józefa Rachwalskiego i Ewy Sobolowskiej — Rachwalskiej. Spektakl „Halki” (znów w reżyserii K. Dejmkę)

Należy jeszcze zatrzymać się nad dwiema głośnymi i kontrowersyjnymi inscenizacjami K. Dejmkę — „Noc listopadową” i „Akropolis”. Oba spektakle w swej wizji plastycznej odbiegały całkowicie od opisu podanego przez Wyspiańskiego. Scena w „Nocy listopadowej” była ogromna, czarna przestrzeń, której centralną zabudowę stanowiły szerokie schody potrzebne Dejmkę do komponowania niezwykle scen zbiorowych. Nie ma Łazienek, nie istnieje prawie charakterystyka miejsca akcji. Niekiedy tylko Rachwalski delikatnie zaznacza jakimś szczegółem (kontury pomnika, krata okalająca park, globus u Lelewela) zmianę poszczególnych scen. Artysta posługuje się tutaj skrótem, symbolem, metaforą. Przedstawienie „Nocy listopadowej” intrygowało, budziło zachwyt i głosy sprzeciwu, inspirowało dyskusje, ale było niewątpliwie wspólnym osiągnięciem scenografa i inscenizatora.



Projekt dekoracji J. Rachwalskiego i I. Zaborowskiej do „Hamleta”
Fot. J. Neugebauer

wzbudził wiele dyskusji i krańcowo sprzecznych opinii, burzył dotychczasową tradycję zarówno inscenizacyjną jak i plastyczną. Sam artysta na pytanie, co sądzi o plastycznej stronie widowiska powiedział: „Wydaje mi się, że była to dobra scenografia, staraliśmy się podkreślić plastyką to, co stanowiło ideę przewodnią inscenizacji Dejmkę — wypukłość wątku dramatycznego”.

Rachwalskiego — scenografia określić można niewątpliwie jako neorealizm. Jego dekoracje są zawsze podporządkowane koncepcji reżysera, tekstowi dramatu, określają najczęściej czas i miejsce akcji. Charakteryzują się niezwykle wprost jednolitością, bardzo oszczędne w formie i kolorze. Nigdy nie jest to scenografia oderwana od całości, sama dla siebie, nie stara się być elementem dominującym; podkreśla nastrój, uzupełnia, jest tłem dla aktorów. Rachwalski jest również doskonałym technikiem sceny, umie gospodarować przestrzenią sceniczną w ten sposób, że daje złudzenie dużych obszarów, w jego dekoracjach dobrze czują się aktorzy, a reżyser bez trudu komponuje ruch sceniczny. Jego scenografię cechuje zawsze równowaga kompozycyjna. Nigdy nie po-

wiela poprzednich rozwiązań, każda sztuka to nowe rozwiązania, nowe koncepcje dostosowane jednak do utworu z niezwykłym wprost wyczuciem. O swojej pracy w teatrze mówi: „Staram się, aby każda moja scenografia była inna, sugerując się przede wszystkim tekstem, klimatem, epoką, w której rozgrywa się akcja”. Poza scenografią Rachwalski uprawia jeszcze inne formy plastyczne: plakat (jest autorem niemal wszystkich plakatów do sztuk wystawianych przez Teatr Wojska Polskiego), grafikę użytkową (ilustracje i okładki do książek), a nawet malarstwo sztalugowe. Jest więc artystą o bogatym wachlarzu zainteresowań.

Korzystając ze spotkania z artystą zapytałam, czy uważa, że praca w teatrze pozwoliła mu wypowiedzieć się w pełni jako artyście-plastykowi. „W pełni to przesada, raczej nie. Teatr pociąga mnie, ale tam, gdzie wpływa wiele czynników ubocznych na samą formę plastyczną, nie można mówić o całkowitym wypowiedzeniu się. Wiele zależy przecież od wzajemnego porozumienia scenografa i reżysera, od warunków technicznych samej sceny np. dekoracje do oper na małych scenach zdecydowanie ograniczają możliwości, jakie daje ten gatunek teatru. Scenografia jest sztuką niezwykle ułotną, pozostałe po niej zdjęcia nie oddają rzeczywistości, istnieje jedynie w świetle reflektorów, związana jest nierozdzielnie z aktorem i widzem, ma w sobie coś z żywota motyla...”

Uderza niezwykle skromność artysty, o swojej twórczości mówi niewiele, powściągliwie, z dużym krytycyzmem, co jest niewątpliwie rzadkim zjawiskiem wśród twórców.

— Jest Pan autorem wielu prac scenograficznych, współpracował Pan z wieloma reżyserami — z którym z reżyserów rozumiał się Pan najlepiej i którą ze sztuk lubi i ceni Pan najbardziej?

„Z prac chyba „Trzy siostry” (ale na Małej Scenie, przeniesione na dużą nie sprawdziły się) i „Święto Winkeldrida”; a z reżyserów Kazimierz Dejmkę. Chociaż była to zwykła praca bardzo nerwowa i wyczerpująca — przynosiła zawsze ogromną satysfakcję twórczą”.

Choroba przerwała na kilka lat działalność scenograficzną Józefa Rachwalskiego, obecnie znów projektował dekoracje do „Lażni” i „Pluskwy” dla inscenizacji K. Dejmkę w Essen. Mamy więc nadzieję, że artysta powróci wkrótce na łódzkie sceny.

KRZYSZTOF SKUDZIŃSKI

Smak rzeczy prostych

Pierwsze zdania nowej książki Henryka Czarnieckiego zdają się świadczyć o tym, iż jej autorowi przejadła się stabilizacja; „Kiedyś, gdy miasteczko

otoczono było pierścieniem wojny, wszystko działo się na tych kilkumetrowych murach. Ktoś tam ulica była najważniejsza, a dziś nie ma już ważnych ulic. Wszystkie są jednakowe,

coraz bardziej banalne, bez perspektyw”. Początek ten, prawie że ordo, mogłoby otwierać autor ostry, obrachunkowy, bezkompromisowy, konfrontujący postawy ludzkie, etc. — to znaczy utwór, który przyjęło się nazywać mianem zaangażowanego. W wypadku „Kurtki na ekspres” sprawa ma się inaczej.

Narrator — autor (nieskrzywna autopsja pozwala postawić tutaj znak równości) opowiada nam koleje swojego życia od momentu zakończenia wojny (miał wtedy lat osiemnaście) do chwili — założenia czapki uniwersyteckiej, takie są ramy czasowe książki Czarnieckiego. Młodość, o której traktuje książka, jest w życiu człowieka poszukiwaniem postawy, światopoglądu, borykaniem się ze sobą i otoczeniem, burzliwym

określeniem siebie w życiu społecznym i intymnym, definiowaniem się na własny użytek, dochodzeniem do stwierdzeń i odwoływaniem ich, opowiadaniem się ciągle na nowo — wszystko to świadczy o młodości lub bardziej głębokim uczuciu niechęci do rzeczywistości. I tutaj trzeba stwierdzić, iż retrospekcje autora „Kurtki na ekspres” są jednostronne. W swoich wspomnieniach świado-

mości rezygnuje on z wszechstronnej traktowania rzeczywistości (byłoby źle, gdyby działał się to nieświadomie), co mu ułatwia tworzenie klimatu, swoistej atmosfery książki, która nie jest powieścią i pamiętnikiem. Jest ona impresją poetycką na temat zajmowania miejsca w życiu, inaczej mówiąc jest ona historią (tutaj już trudno powiedzieć, czy jest to autorsko gwałdome i zamierzone) dochodzenia do stabilizacji. Trud poszukiwania chleba, mieszkania, pracy zostaje ukoronowany (czy zdevaluowany?) prostą uciechą z nastania wakacji. Tutaj tkwi sprzeczność: przecież książka miała być i humanizmem. Autor ten posłada już pewne doświadczenie pisarskie i poznał już wiele tajemnic warsztatu prozatorskiego. W „Kurtce na ekspres” znajdujemy jednak zbyt wiele afirmacji, akceptacji i nieskrzywanej apologetyki, co sprawia, iż jest ona strawą literacką zbyt słodką. Jeżeli czytelnik będzie oczekiwał następnej książki tegoż autora i jeżeli znajdzie w niej trochę mniej relacjonowania, a więcej borykania się i trochę niezadowolona (mimożyciowa szczypta soli), satysfakcja z lektury na pewno wzrośnie.

ka na ekspres, skrzypce, schody, szerokie ulice, wanna, koidra.

Poczucie autentyczności, prawdy, tkwiącej w prostych rekwizytach, jest zaletą prozy Czarnieckiego. Książka pełna jest ciepła i humanizmu. Autor ten posłada już pewne doświadczenie pisarskie i poznał już wiele tajemnic warsztatu prozatorskiego. W „Kurtce na ekspres” znajdujemy jednak zbyt wiele afirmacji, akceptacji i nieskrzywanej apologetyki, co sprawia, iż jest ona strawą literacką zbyt słodką. Jeżeli czytelnik będzie oczekiwał następnej książki tegoż autora i jeżeli znajdzie w niej trochę mniej relacjonowania, a więcej borykania się i trochę niezadowolona (mimożyciowa szczypta soli), satysfakcja z lektury na pewno wzrośnie.

Przeszłość i teraźniejszość

„Książki pisze się samotnie, ale nie w osamotnieniu. Również i ta zawdzięcza wiele inspiracji, pobudek i wzorów poznańskiemu środowisku historiograficznemu. W ubiegłych pięćdziesięciu latach środowisko to było głównym ośrodkiem polskiej naukowej myśli zachodniej. Głównym przedstawicielem tej myśli poświadcza niniejsza „Polska granica zachodnia”. Gerard Labuda poświadcza swoje nowe dzieło pt.: „Polska granica zachodnia. Tysiąc lat dziejów politycznych” (Wydawnictwo Poznańskie 1971) pamięci Józefa Kostrzewskiego, Kazimierza Tymienieckiego i Zygmunta Wojciechowskiego nie tylko splanął dług, który zaciągnął u swoich naukowych mistrzów, lecz jednocześnie dawał świadectwo intelektualnej żywotności ich dziedzictwa. Książka G. Labudy wyrosła z tradycji historiograficznej kierunku, który ukształtował się jeszcze w początkach międzywojennego dwudziestolecia, nur-

tu zrodzonego ze wspólnych potrzeb nauki i polityki, zaktualizowanego, w nowych warunkach dziejowych, po II Wojnie Światowej. Zrodziła się z tego samego kierunku, który owocował w licznych dziełach naukowych i inspirował ambitne dzieła literackie, by wspomnieć o powieściach Antoniego Golebiewa, Władysława Jana Grabskiego czy Karola Bunscha o naszych dziejach sprzed tysiąca lat.

Dzieło G. Labudy jest niewątpliwie pracą pionierską, tym ambitniejszą, że ogarniającą od razu całość dziejowego rozwoju zachodniej granicy Polski. Tego rodzaju ujęcie było niezmiernie trudne do zrealizowania, lecz było przecież rozwiązaniem optymalnym. Jeżeli dziś coraz częściej zastanawiamy się nad różnorodnością dziejowych rytmów, jeśli coraz wyraźniej dostrzegamy, że nie ma już w dziejach jednolitego czasu dla wszystkich, że są natomiast różne trwania i zróżnicowane ryt-

my czasowe i podkreślamy wartości historii „długiego trwania”, zdajemy sobie sprawę z tego, że w tych właśnie kategoriach należy rozpatrywać dzieje granic, oddziaływających od siebie narody, państwa czy cywilizacje. Dopiero spojrzenie całościowe pozwala nam dostrzec nie tylko „rzucającą się w oczy, łatwą do postrzeżenia zmienność dziejowego zjawiska, lecz również ukrytą w niej, imponującą nieraz trwałość.

Aczkolwiek dzieło G. Labudy jest — jak to autor podkreślił w tytule — monografią z dziejów politycznych, przecież uczonemu udało się uniknąć wąskopoli-tycznego ujęcia badanego problemu. Świadomie obral on za punkt wyjścia „szersze prawidłowości rozwojowe” i postugiwał się „przede wszystkim kategoriami prawa nierównomierności rozwoju sił wytwórczych”, zmierzając na tej drodze do wyjaśnienia „wzrostu i upadku państwa”. Wzrost i upadek państwa to nie jest dzieło zachodniej granicy polskiej na tle stosunków polsko-niemieckich. Te ogólne założenia natury me-

todologicznej warunkowały ważne stwierdzenie, mianowicie, że „linearny przebieg tej granicy był przez cały czas wykładnikiem wzajemnego oddziaływania rozmaitych potencjałów Niemiec i Polski na siebie, przede wszystkim ekonomicznego i politycznego, ale także i innych, jak np. ideologicznych, kulturalnych i organizacyjnych.”

Czynnikiem, który posiadał podstawowe znaczenie dla kształtowania się i rozwoju zachodniej granicy Polski był wreszcie zmieniający się w dziejowym procesie układ międzynarodowych stosunków politycznych. Od czasów najdawniejszych — podkreśla to G. Labuda — zagadnienie granicy między Polską a Niemcami angażowało również inne państwa, w coraz większym stopniu miało charakter międzyna-

rodowy, wykraczając daleko poza Europę środkową. Było tak już w średniowieczu, potem w czasach nowożytnych i wreszcie najnowszych, kiedy to napięcia na granicy polsko-niemieckiej „przetrwały” rozmiary ogólnoświatowe.”

pozytywna tradycja historiograficzna kała nam wierzyć, że warunkiem niezbędnym obiektywizmu historiograficznego jest uwolnienie się badacza od jakichkolwiek związków z polityką. Idealnym był wówczas historyk, zamknięty w wieży z kości słoniowej, odizolowany od otaczającego go świata. Już dawno nauka doszła jednak do wniosku, że postulat ten jest tyleż nierealny, co bezzasadny. W naukach społecznych, gdzie nie da się przeprowadzić ostrej granicy między badanym przedmiotem a podmiotem, ów

izolacjonizm prowadzić może jedynie do zawężenia badawczej perspektywy i spłytenia ujęcia problematyki. Liczni współcześni historycy stawiają dziś uczonym wymóg gruntownej orientacji w sprawach teraźniejszości, aby tym lepiej, bardziej precyzyjnie i bardziej obiektywnie badać dziejową prawdę. Wyraża go słów innej słynna formuła Marc Blocha o spoglądaniu w przeszłość przez teraźniejszość, na teraźniejszość zaś przez przeszłość. G. Labuda starał się zadośćuczynić temu postulatowi. Dał nam do ręki dzieło ambitne, o niezaprzeczonej aktualności. Jest ono tym większa dzisiaj, kiedy oczekujemy ratyfikacji przez NRF układów moskiewskich z 12 sierpnia 1970 i warszawskiego z 7 grudnia tegoż roku. „Układ warszawski” — stwierdza uczony — jeżeli zostanie ratyfikowany przez parlamenty obu krajów, zlikwiduje ostatnie ognisko niepokoju, jakie tli się jeszcze w Europie po zawarciu traktatu pockdamskiego”.

JÓZEF GRZELAK

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

„Król Lear” czyli zatarcie tropy

Mamy w Łodzi zdarzenie dość rzadkie: zbiegły się w czasie premiery dwóch wielkich dramatów Szekspira. „Hamlet” i „Król Lear”. Okazja do konfrontacji koncepcji reżyserskich, inscenizacji, aktorstwa. To pouczające porównanie pozostawmy jednak łódzkiej publiczności, a sami skoncentrujmy się na jednym tylko z tych widowisk, przygotowanym mianowicie przez Teatr Powszechny.*)

Stało się już prawidłowością we współczesnym życiu teatralnym, że ambitne inscenizacje dramatów Szekspira nie powielają tradycyjnych wzorów, lecz są poszukiwaniem własnej interpretacji, interpretacji korespondującej z doświadczeniami człowieka dzisiejszego. Maciej Zenon Bordowicz dał się już poznać w Łodzi jako reżyser odważny, podchodzący do wielkiej literatury bez kompleksów („Henryk V” Szekspira, „Książę Marek” według Słowackiego). Zadaniem recenzenta było więc prześledzić i w przedstawieniu „Króla Leara” tropy samodzielnej interpretacji reżyserskiej.

Tym razem jednak ślady koncepcji inscenizatora z trudem odszyfrować można, obserwując scenę. Widowisko jest niekonsekwentne i niespójne. Ukazanie się Blazna na początku i na końcu przedstawienia wskazywałoby na swoisty cudzysłów, w który Bordowicz chce je ująć. A zatem całość intrygi widziana oczyma Blazna — rezonera? Perspektywa ironii obdzierającej bezlitośnie wszelkie glupstwo z patosu i blachy? To mogłoby być frapujące. Ale trop się zaciera i urywa. Daro szukałobyśmy go w przedstawieniu.

Tradycyjnie wysuwało się na plan pierwszy w „Królu Learze” tragedię ojca, który zawiódł się na rzekomej miłości dwóch córek, a uczucie trzeciej — prawdziwie go kochającej — od siebie odrzucił. Bordowicz nie przyjmuje (i słusznie!) tego dość melodramatycznego motywu za wiodący w swojej inscenizacji. Świadczy o tym odpowiednie kurtyzowanie tekstu. Ale co w takim razie stara się reżyser eksponować?

Przeglądając się uważnie tropom, można by się dopatrzeć próby pewnego syntetycznego spojrzenia na losy ludzkie. Ich zmienność, która powoduje, iż ze szczytu powodzenia stoczyć się łatwo na samo dno niedoli, jest przecież w „Królu Learze” do odczytania. Taki żywot biednego wędrowca przypada w udziale samemu Learowi, omanemu pajęczyną intrygi Edgarowi i jego ojcu — Hrabie Glossterowi, gdy wydarte mu zostaną oczy. Równie ciężki, żebraczy los przyjmuje na siebie z wyboru wierny królowi Hrabia Kent i nieodstępny Blazen.

Relatywizm doli ludzkiej wydaje się być podstawową tezą widowiska Bordowicza. Świadczyłby o tym pewien zabieg dokonany przez reżysera. Wszyscy nieszczęśnicy udający się na tułaczkę, wkładają na nogi ciężkie saboty. To drewniane obuwie spełnić ma więc rolę znaku, sygnalizować ową fatalną odmianę w kondycji. Czy istotnie chwyt ten wzbogaca strukturę widowiska?

były uznać należy za pomysły niefortunne. Tym bardziej, że reżyser dla osiągnięcia efektów akustycznych kazał aktorom poruszać się w tak niewygodnym obuwiu po obitej blachą płaszczyźnie, co grozi w każdej chwili upadkiem i utrudnia koncentrację.

Niewiele dopowiada w tym przedstawieniu muzyka, która wtóruje tekstowi, nie usiłując rozbudować jego wymowy. Nie inaczej ma się rzecz ze scenografią. Jedyne ratunek pozostawałby w aktorstwie, ale tu mamy do czynienia z samotnymi wysiłkami, które nie służą całości widowiska.

Zacznijmy od tytułowej roli w realizacji Jerzego Przybylskiego. O wybitnych walorach tego aktora nieraz miałem możność pisać. Tym razem nie udało mu się jednak zweryfikować i uczynić mglistych zamierzeń reżysera. Lear Przybylskiego jest nieokreślony. Nie określony w gniewie, w bólu, w dziwacznych scenach „rozbieganych”. Nie spełnia on roli spoiwa, które ujednoliciło by przedstawienie, ani nie wytycza kierunku innym wykonawcom.

To przesądza chyba ostatecznie sprawę. Aktorzy grają na własny rachunek, nie ma całkowania. Niektórym udaje się stworzyć dość konsekwentne, ale nie służące całości postaci, jak w przypadku Czesława Przybyły (Oswald), inni są nijacy, co w przypadku Michała Szewczyka i funkcji, jaką spełniać powinien Blazen, jest szczególnie dotkliwie. Nie za dobrze czuje się w tragicznej pozie Glostera Włodzisław Skoczylas. Bogdanowi Kopciowskiemu nie udało się wydobyc kontrastu między pozorną łagodnością Księcia Kornwalii a okrucieństwem jego postępowania.

Gwoli sprawiedliwości dodać trzeba, że Mirosław Szonert nie mógł uratować postaci Kenta, gdyż skróty tekstu dokonane przez reżysera odebrały jej wszelki właściwy sens. W ogóle trzeba postawić pytanie, czy poważną częścią winy za niepowodzenia aktorskie nie należałoby obciążyć właśnie Bordowicza. Nie dotyczy to ról kobiecych w tym przedstawieniu, o których można napisać albo źle, albo wcale...

„Król Lear” rozczarował. Szkoda, grywa się go tak rzadko!

* WILLIAM SHAKESPEARE „Król Lear”; przekład — ZOFIA SIWICKA; reżyseria — MACIEJ Z. BORDOWICZ; scenografia — IWONA ZABOROWSKA; muzyka — BOGDAN PAWŁOWSKI; asystent reżysera — KUBA GEIGER; układ walk — ZBIGNIEW NAWROCKI; premiera — 25. III. 72.



Jerzy Przybylski — KRÓL LEAR i Ewa Maria Hesse — KORDELIA
Fot. J. Neugebauer



JERZY DERKOWSKI — obraz namalowany na plenerze w Spale

ANDRZEJ GRUN

Sport i sztuka

Refleksje na tej, nie najlepszej zresztą, wystawie nasuwają się nimo woli. Cisną się raczej za sprawą jej tytułu, z racji jej programowych założeń. Dotyczą spraw pozorne sztuce odległych; ale tylko pozornie. Plon ogólnopolskiego pleneru olimpijskiego w Spale, plastycy uczestniczący w zgrupowaniu sportowców, próba zobrazowania w dziele plastycznym sportu — dziedzinę ludzkiej działalności, która angażuje czynnie dziesiątki tysięcy, a fascynuje miliony, która stworzyła własne mity, legendy, idole, wywierając przemożną presję nie tylko na poszczególne jednostki czy grupy społeczne, ale na całe narody. Sport bowiem stał się jednym z podstawowych składników kultury masowej i wraz z rozwojem wizualnych środków informacji zakres jego oddziaływania nieustannie rośnie.

W 1896 roku Francuz P. de Coubertin powołał do życia nowożytną Igrzyska Olimpijskie pod szczytnym hasłem „szlachetnego współzawodnictwa młodzieży i przyjaźni między narodami”. Odnawiając tradycję Igrzysk Olimpijskich de Coubertin był myślami nad brzegami Błękitnego Morza, u samego źródła naszej europejskiej kultury. Myślał zapewne o miejscu między splecionymi nurtami Alfejosu i Kladeosu, w którym z praktyk Zeusowego kultu narodziły się antyczne olimpiady, z którego co cztery lata w helleński świat wybiegali sponoferowie, ogłaszając „pokój boży” na Peloponezie i w koloniach. Dzisiaj w tym samym miejscu czarni pułkownicy odprawiają swoje czarne msze. Dzisiaj w tym samym miejscu za zagwizdanie melodii Theodorakisa grozi stryczek. Dzisiaj, gdy na jakimś stadionie zapalają olimpijski znicz, nikomu nie przyjdzie do głowy odkładać broni, zdejmować palec ze spustu. To raczej cywilizowany wiek XX gasił olimpijskie znicze, bowiem zbrodnicze praktyki nie kochają takiej iluminacji.

Przerzywać wojny? Ogłaszać pokój? Facet, który ostrzeliwuje z moździerza ruiny świątyni Angkor Watu wydarte dzungli benedyktyńskim trudem uczonych z wielu krajów, słucha spokojnie płynącego z tranzytora sprawozdania z zimowych Igrzysk w Sapporo. Nie widzi związku między rozbijaniem w proch i pył budowli starożytnych Khmerów, a tym, co dzieje się w cieniu flag z pięcioma kołami. A może nie chce odkrywać tych związków?

Kiedy Rzymianie podbili Grecję, sprowadzili Igrzyska Olimpijskie do rangi imprez prestiżowo-politycznych. Krótko mówiąc pozbyli się tych wszystkich idei, którymi szczyciła się grecka cywilizacja i grecka demokracja. Profanacja jest aktem łatwym, zwłaszcza dla barbarzyńców. Tradycję jednak przekreślić nie sposób, nie można tak po prostu wymazać jej z pamięci ludzkiej. Cesarz Teodozjusz I zakazał Igrzysk Olimpijskich w Imperium. Cesarz Teodozjusz II kazał zburzyć świątynię olimpijską. Przez długie wieki znicz olimpijski płonął jeno w ocalałych ołtarzach ludzkiego geniuszu, zakutego w marmur, zaklętego w pieśń.

Historia się powtarza. Na berlińskiej Olimpiadzie w 1936 roku Hitler uciekł z trybuny, aby nie podać ręki Murzynowi.

Ziemia między Alfejosem i Kladeosem kryje w sobie kronikę i listę starożytnych Igrzysk. Zniszczeń, których inicjatorem był rzymski imperator dopełniła natura — zmiana biegu rzeki Kladeos pod wpływem wstrząsów sejsmicznych i obsunięcia się wzgórzia Kronionu położyły kres olimpijskim praktykom na długie stulecia. Lopata archeologa wydobyla na światło dzienne to, co ukryła ziemia — ślady wspaniałej architektury sakralno-sportowej. Warsztat rzeźbiarstwa Fidiassa, a w nim statua Zeusa i posąg tych, co laurem okryli czoła. Rzeźby Leocharesa, Praksytelesa, Pajoniosa. Tak było bowiem w helleńskim świecie, że obok dyskobola stawał poeta, obok biegacza muzyk. Równi sobie i w równym stopniu przez tłum oklaskiwani. I w równym stopniu zasługujący na posąg, kiedy okryli się chwałą zwycięstwa. Sztuka i sport stanowiły bowiem jedno. Dla greckiej sztuki wzorem i kanonem było ludzkie ciało, jego proporcje, z których wyprowadzano moduły i dla amfory i dla świątyni.

Nowożytna Igrzyska usiłowały przez jakiś czas zrekonstruować tę jedność. Od 1912 do 1948 roku obok dyscyplin sportowych odbywały się olimpijskie turnieje w dziedzinie architektury, muzyki, literatury i sztuk plastycznych. W tych turniejach Polacy mieli więcej medali niż w konkurencjach sportowych. Jednak duch Olimpiad nowożytnych był inny. Sztuka okazała się dodatkiem niepotrzebnym. Zresztą, skoro ciało ludzkie przestało być dla niej wzorem jedynym, jak mogła towarzyszyć sportowcom zmaganiom. Skreślono więc z listy turnieje sztuki.

Trzeba jednak przyznać, że jest gatunek twórczości, która z racji Olimpiad tworzy dzieła nowatorskie i wielkie. To architektura sportowa. Ona jedna dotrzymała kroku. Budowle sportowe w Rzymie, Meksyku, Tokio, Monachium są architekturą wspaniałą zarówno pod względem funkcji jak formy i konstrukcji.

Igrzyska Olimpijskie to widowiska gigantyczne, w których sam sport staje się w coraz większym stopniu pretekstem jeno. Zmaganiom na ringach i boiskach towarzyszą przeróżne imprezy organizowane z myślą o reklamie, biznesie, prestiżu politycznym. Sport wpisany został do katalogu „rzeczy, które warto zobaczyć”.

Chociaż jeśli spojrzeć na rzecz z innej nieco strony, to przecież sztuka jest jednak obecna przy zmaganiach sportowych. Jest obecna i jest w sport zaangażowana. Inspiruje się nim i służy mu, to sztuka użytkowa. A więc grafika reklamowa, plakaty, foldery, wydawnictwa, fotografia, film. Projekty kostiumów zawodników, emblematy, plakaty pamiątkowe, puchary. A to, że nie rzeźbi się posągów tych, co skroń okryli wieniec laurowym — cóż, mamy ich żywych w telewizji, w kinie, w barwnych magazynach... Czy to to samo? Może i nie, ale taka jest nasza cywilizacja.

Na wstępie drobne zastrzeżenie. Wobec tego, że NOT obraził się na tych sprawców sądowych, którzy składali dotychczas relacje z procesu grupy „techników i inżynierów”, pragnę zaznaczyć, że przestępstwo nie jest kwestią techniki, lecz etyki. Pisząc, że na ławie oskarżonych Sądu Powiatowego m. Łodzi zasiadli ludzie legitymujący się wykształceniem politechnicznym, moi koledzy po piórze nie mieli wcale na myśli postępu technicznego, lecz raczej regres moralny. Pisząc zaś, że proces odbywał się na wyższym poziomie technicznym, mogli mieć na myśli jedynie fakt, iż starego skrybę sądowego zastąpiła sprawną maszynistka z „remingtonem”. Technika również trafiła do sądu. Technicy nie musieli. Sąd ocenia kwalifikacje moralne sprawców, a nie ich kwalifikacje zawodowe.

Niewątpliwie przykrą jest rzeczą, gdy na ławie oskarżonych zasiadają doskonale fachowcy zupełnie z innej branży, niż zbrodnia. Społeczeństwo zawsze z gębkiem żalem i niepokojem żegna ludzi przyzwoitych, którzy z własnej woli staczają się na margines społeczny, choćby ten margines był najbardziej ekskluzywny. Z wielką przykrością i smutkiem pozbawia ich nierzaz na pewien czas wolności, ażeby mogli przemysleć w ciszy i spokoju swój niewłaściwy udział w sprawie, w podziale dochodu narodowego.

Słowa te można w pełni odnieść do kilku młodzieńców, którzy niedawno zasillili arestanczkę cele, a później ławę sądową, podejrzani o przywłaszczenie różnych cudzych przedmiotów wartości około miliona złotych. Pikantnym szczegółem jest, że okradali znajomych, przyjaciół, sąsiadów, nawet własne sympatie i ciotki. Wiadomo — amatorzy, zawodowcy podobno unikają okradania swych bliskich, choć ja nie jestem tego taki pewien. Jeśli człowiek jest nieuczciwy, to w stosunku do wszystkich, nie wyłączając również samego siebie.

Obserwowałem trochę ten proces. W pierwszym rzędzie ławy grono wytwornych młodych mężczyzn w wizytowych strojach, garnitury prosto od Szulca, nienagane maniery, wykwinny sposób wyrażania się. To podejrzani o paserstwo i drobniejsze przestępstwa, odpowiadający z wolnej stopy, niektórzy przebywający na wolności za poręczeniem pieniężnym. Część odpowiada za błędy młodości, większość w ogóle dotychczas nie karana. Uchodzili w swym środowisku za ludzi z „głową do interesów”.

Pierwszy z lewej — Andrzej Topolnicki, lat 29, z zawodu inżynier-mechanik. Podejrzany o kradzież magnetofonu „Szmaragd” wartości 16.000 zł ze Studium Języków Obcych Politechniki Łódzkiej. Zdarzyło się to w 1963 roku, miał wtedy 21 lat. Dziś pracuje na odpowiedzialnym stanowisku. Miał okazję skorzystać z amnestii. Dlaczego tego nie uczynił?

— Nie skorzystałem z amnestii, gdyż bałem się utracić osiągniętą pozycję — odpowiada przed sądem.

Teraz stracił więcej — dobre imię. Można sobie wyobrazić jego dramat.

Podobnie Zbigniew Bialecki — inżynier budowlany, kierownik budowy, racjonalizator, opiekun młodej kadry w przedsiębiorstwie. Podejrzany o współuczestnictwo w kradzieży, stał na tzw. lipku, kiedy jego przyjaciel, Jacek Mieszkowski, włamywał się do domu państwa K. w grudniu 1965 roku. I on także nie skorzystał z amnestii, albowiem robił w tym czasie akurat dyplom. Zyskał dyplom, stracił twarz. Mówi przed sądem: „Załuję, że dałem się Mieszkowskiemu wciągnąć w przestępstwo działalności. To jest prawdziwy dramat. 42 dni w areszcie były dla mnie koszmarnym przeżyciem i ciężkim doświadczeniem. Nigdy w życiu nie kradłem”.

Obaj ci młodzi ludzie, z dyplomami studiów wyższych, za chwilę słabości charakteru zapłacą wysoką cenę bez względu na to, jaki będzie wyrok sądu. Pewne straty są niepowetowane. Niestety, nie są to tylko ich własne straty, społeczeństwo również ponosi koszt takich chwiejnych postaw współobywateli.

Sędzią w tej sprawie jest również oskarżonych, młody sędzia, J. Kubiak. Oskarżenia mogłyby być jego kolegami, studiomali prawie w tym samym czasie. Jakże odmienne są koleje losu młodych ludzi.

Przewód sądowy został właściwie zakończony, przerwa nastąpiła wskutek skierowania jednego z głównych oskarżonych, Jacka Mieszkowskiego, na obserwację psychiatryczną. Lekarze orzekną, czy jest on w pełni władz umysłowych i wtedy dopiero zapadnie wyrok. Przestępcy dość często usiłują wyrwać się z objęć Temidy i uciec przez furtkę psychiatryczną od odpowiedzialności. Trudno orzec, jak jest w tym konkretnym przypadku. W każdym bądź razie Jacek Mieszkowski, lat 31, jest również inżynierem, pracował do chwili zatrzymania jako kierownik grupy budowlanej. Zasiada obecnie w drugim rzędzie ławy oskarżonych wśród tych, co bezpośrednio dokonywali włamań do cudzych mieszkań. Druga linia jest mniej wytworna, oskarżenia doprowadzani są do sądu z aresztu, więc trudniej im zadbać o garderobę. Wiedzą kolejni: Wojciech Kowalec, lat 28, technik-elektronik, najbardziej ze wszystkich operatywny i chyba najinteligentniejszy. Broni się sam, bez adwokata.

Następnie Jerzy Brzeziński, lat 24, technik i Zygmunt Wyszogrodzki, lat 29, ma za sobą dwa lata studiów matematycznych. Wszyscy są żywym zaprzeczeniem teorii Lombrossa, który twierdził, że przestępczość jest dziedziczna. Ci, tutaj, to przestępcy niejako z pierwszego pokolenia, bez żadnych tradycji rodzinnych. Swym wykształceniem, kulturalnym sposobem bycia, i wreszcie samym wyglądem zewnętrznym odbiegają dalece od potocznych wyobrażeń o kryminalistach. W gruncie rzeczy działalność przestępczą uprawiali na marginesie swego życia zawodowego i towarzyskiego. Uchodzili za ludzi wyjątkowo zacnych. Nikt ich nie podejrzewał o uprawianie tak niecznego procederu, jak dorabianie kluczy i włamania w celach czysto rabunkowych. Wykorzystują właśnie ten czynnik we własnej obronie ich paserzy, występujący w tym procesie. Nie przyznają się do winy, ponieważ twierdzą, że nigdy nie ośmieli-

li się do sąsiada, grabiąc biżuterię wartości około 6.000—9.000 złotych. Sprawa się wydała, lecz żyjący jeszcze wówczas ojciec Kowalec zobowiązał się zwrócić równowartość skradzionych przedmiotów właścicielowi. Młodocianym przestępcom uszło to na sucho. Dziś inteligentny Kowalec, który ma pełną świadomość swej złodziejskiej kariery powiada: „Ojciec zwrócił pieniądze poszkodowanym i właściwie nie odczułem tego, co zrobiłem. Zawsze brakowało mi pieniędzy. Najpierw przyczyną wejścia na tę drogę była chęć podjęcia ryzyka, hazard, brawura. Nawet zysk się nie liczył w takim stopniu, jak własnie możliwość uczestniczenia w przegrodzie. Początkowe zabawy w wieku szczenięcym przerodziły się w przestępstwa i sposób zarabkowania”.

Rzeczywiście, Kowalec rzucił bardzo ciekawą pracę w teatrze i żył tylko z kradzieży. Za skradzione pieniądze kupił piękny samochód marki „Roover”. Dokonał

dobrze znałem S. — stwierdził w czasie przewodu sądowego.

Opory były jednak widocznie mniejsze, niż chęć korzyści.

Lista włamań jest dość długa i nie sposób wyliczyć je wszystkie. Wszędzie z reguły sprawcy dostawali się przy pomocy dorobionych kluczy. Praktycznie grasowali prawie przez cztery lata. Po włamaniu do państwa R. Ich syn został poinformowany przez pewnego znajomego, kto i kiedy to uczynił. Organów ścigania jednak nie zawiadomił.

Jak przystoi na dobrego kryminala, zdradziła ich kobieta. Przyjaciółka Kowalec spostrzegła pewnego razu w jego mieszkaniu stalówkę, złotego słonika i kawałek kolczyka. Wiedziała, że przedmioty te były własnością państwa M., którym dzielił złodzieje zrabowali biżuterię wartości 400.000 zł. Oczywiście i w tym wypadku ofiarami przestępców padli ich bliscy znajomi. Znajomi do tego stopnia bliscy, że

KAROL BADZIAK

ZŁOTY SŁONIK I KWAŁEK KOLCZYKA



Fot. J. Mendychowski

liby się podejrzewać tak przyzwoitych osób o sprzedaż biżuterii i przedmiotów zbytku, pochodzących z kradzieży. Natomiast wszyscy podejrzani o włamania przyznali się do zarzutów, zawartych w akcie oskarżenia. Tylko Zygmunt Wyszogrodzki nie przyznał się do współudziału, oświadczając, że jedyne przestępstwo, jakie popełnił, to prowadzenie samochodu bez prawa jazdy.

Jedno jest pewne, nie kradli dla zaspokojenia swych podstawowych potrzeb materialnych, lecz dla zaspokojenia zachcianek. Mimo, że działali sporadycznie, chciałoby się rzec — po amatorsku — robili to tak fachowo, szczególnie jeśli chodzi o dorabianie kluczy, że PZU odmawiało często wypłaty odszkodowania ich ofiarom, sugerując, że są to włamania fingo-

wane przez samych właścicieli. W tym miejscu mały wtórny kaznodziej-ski. Przypuszczam, że na drodze przestępstwa zaprowadziła tę złotą młodzież określona postawa konsumpcyjna wobec życia. Warunki materialne mieli bowiem dobre, jako że na ogół wywodzą się z rodzin zamożnych. Lecz nie nauczyli się ani w domu, ani w szkole, ani na uczelni myśleć kategoriami społecznymi i działać społecznie. Postawa egocentryczna i użyteczność towarzyska to trochę za mało, jak na światopogląd. Wywodzą się oni z tych kręgów, których ideałem jest wyjechać na Zachód, dorobić się w kapitalizmie, by urządzić się w socjalizmie. Daleki jestem od dorabiania im ideologicznego rodowodu, lecz prawda jest taka, iż faktycznie pewną grupę młodych ludzi gubi zbytnia niecierpliwość. Nie chcą się godzić na stopniowe podnoszenie swego standardu życiowego równocześnie z całym krajem, próbując wyprzedzić niektóre procesy gospodarcze i to nie rzadko właśnie bez „prawa jazdy”. Uważają się za ludzi, którym zaraz po studiach należy się willa, samochód i wszystkie inne dobra tego świata. Wcześniej czy później spotykają się z aparatem sprawiedliwości, który ich rozlicza i stosuje terapię dość nieprzyjemną. „42 dni w areszcie były dla mnie koszmarnym przeżyciem” — powiedział przeciw Bialecki. I ja mu wierzę. I bardzo naprawdę współczuję. Teraz, chodzi tylko o to, żeby oni sami nie zaakceptowali swego przestępczego postępowania, a będą uratowani. Tak dla siebie jak i dla społeczeństwa. Karę, niestety, muszą ponieść. Takie reguły obowiązują wśród ludzi dorosłych. Kto ich nie przestrzega, schodzi na margines i niech się nie ludzi, że istnieje jakiś margines ekskluzywny. Takiego nigdy nie było i u nas nie będzie.

Może gdyby Kowalec i Mieszkowski zostali ukarani za swój pierwszy czyn przestępczy, to ich życiorysy potoczyłyby się zupełnie inaczej. Był rok 1961, gdy wła-

ponad 20 włamań. Inni działali epizodycznie. Kowalec brał udział we wszystkich akcjach. Środowisko, w którym przebywał wiedziało, że nigdzie nie pracuje, ale nigdy nie odczuł z tej strony dezaprobaty, wręcz przeciwnie — podziwiano go za umiejętność radzenia sobie w życiu.

Najpierw okradł koleżankę swej siostry, Urszulę W. Działal właśnie w najbliższym gronie. Później okradł nawet narzeczonego swej siostry. Na swym koncie ma również kradzież tokarki i wiertarki z Politechniki Łódzkiej. Dokonał tego wspólnie z Mieszkowskim. Właśnie samochodem ojca złodzieje wywieźli stamtąd owe urządzenia. Młody Mieszkowski marzył zawsze o założeniu warsztatu mechanicznego. Okazuje się, że to był wystarczający powód do kradzieży. Później jednak grupa przestępcza wyspecjalizowała się w rabowaniu wyłącznie biżuterii, złota, pieniędzy, dolarów i drogich futer. Spis skradzionych rzeczy wygląda, jak wspólny reżanet komisju, „Jubiler”, sklepu Pekao i „Desy”.

Przestępcy całkowicie pozbawieni byli uczuć wyższego rzędu. Janinę Z. okradli w trakcie pogrzebu jej męża. Wróciwszy z cmentarza z tak bolesnej uroczystości, domownicy zastali mieszkanie spłądrowane przez złodziei. W analogiczny sposób okradli Olę S. Kiedy kobieta udała się na cmentarz, na grób syna, Kowalec i Mieszkowski włamali się do jej mieszkania, zabierając przedmioty wartości około 100.000 złotych. Dodać wypada, że syn Olgi S. był ich dobrym przyjacielem. Kiedy planowali włamanie do mieszkania Tadeusza S., Wyszogrodzki zorganizował specjalny wyjazd z jego synem do Zakopanego. Tadeusz S., podejrzewając syna o udział we włamaniu, zaniechał zawiadomienia o tym fakcie organów MO. Do państwa T. włamali się podczas pobytu właścicieli w Jugosławii. Wyszogrodzki spotykał się przedtem z córką państwa T. Panią P. z Częstochowy okradł Kowalec z Brzezińskim. Pani ta była bliską znajomą rodziców. Pomyśl wypadu do Częstochowy zrodził się właśnie podczas wizyty właścicieli w Łodzi, u rodziców Brzezińskiego. Ofiarą rabusiów padli nawet rodzice córki, która była sympatią Brzezińskiego. Podczas wycieczki za miasto Kowalec wyjął dziewczynie klucze z torebki i zrobił odcisk w plastelinie. Ich łupem padło wtedy 138.000 zł. Nie oszczędzili również bogatej ciotki z Gdańska. Wypad do Gdańska przyniósł im ponad 300.000 zł. Wtedy właśnie Kowalec kupił sobie samochód w Pekao. Za dolary ciotki. Raz tylko miał Kowalec pewne opory, kiedy to włamywał się do mieszkania swych bliskich znajomych, państwa S.

— Miałem ogromne opory, ponieważ

pan M. wręczył Kowalcowi nawet 300 zł jako fundusz reprezentacyjny na prowadzenie dochodzenia przeciwko sprawcom. Na rozprawie Kowalec nie omieszkął dodać: „Ja nawet sam prowadziłem dochodzenie przeciwko sobie, pomagałem w poszukiwaniu sprawców włamania”. Być może, gdyby Kowalec schwytał sprawców, sąd wziąłby to pod uwagę i potraktował jako okoliczność łagodzącą. Jednakże i bez tej pomocy milicja sobie jakoś poradziła.

Jednym z ostatnich skoków złodziei z towarzysztwa była kradzież radiotelefonu. Jadąc samochodem z Gdańska, spostrzegli na szosie walec drogowy z tym urządzeniem. Wiele się nie namyślając odkreślił i zabrał radiotelefon z sobą. Z przyzwyczajenia? Czyżby skłonność zawodowa stała się odruchem warunkowym? Właśnie w związku z tym, w ostatnim dniu rozprawy Kowalec złożył wniosek o skierowanie go do badania psychiatrycznego, w którym pisze: „Sklania mnie do tego świadomość istniejących u mnie skłonności do dokonywania przestępstw, skłonności ujawniających się już we wczesnym dzieciństwie”.

Ba, któż z nas nie ma skłonności do złego?

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

- ST. KASZYŃSKI — Z zapisków jugosłowiańskich (I)
 - H. PAWLAK — Melpomena z okiem szklanym
 - K. FREJDLICH — Sztuka przekładu
- oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna

SPRZYJAJĄCA ATMOSFERA

Jeszcze przed kilkunastu miesiącami w środowisku sportowym Łodzi z zaskoczeniem patrzono na Śląsk, mówiąc: „Tam kwitnie sport, bo władze partyjno-administracyjne doceniają w pełni znaczenie tej dziedziny życia społecznego”. I twierdzenie to znajdowało, i znajduje nadal, odzwierciedlenie w praktycznym działaniu. Nie oglądając się na Warszawę, wybudowano na Śląsku szereg nowoczesnych urządzeń sportowo — rekreacyjnych, czyli zabezpieczono bazę dla wszechstronnego rozwoju kultury fizycznej w województwie. Nie ograniczano się do wykonania tylko narzuconego planu minimum, lecz wykorzystywano, przy pełnym poparciu władzy miejscowej, każdą słuszną inicjatywę, która ramy tego planu znacznie przekraczała.

Inaczej działa się w Łodzi, gdzie wprowadzić mówiono o potrzebie rozwoju sportu, wychowania fizycznego i wypoczynku po pracy, ale wielu słusznych uchwał i postulatów nie wcielano w życie. Po prostu,

nie było sprzyjającej atmosfery „na górze”, a aktywność sportowa bez poparcia „góry” nie mogła we własnym zakresie tych spraw pozytywnie rozwiązać. Nie przeszkadzało — to prawda — ale i niewiele też pomogło. Cierpi więc obecnie Łódź na niedostatek urządzeń sportowych, na brak odpowiedniej ilości i właściwości zagospodarowanych ośrodków rekreacyjno-wypoczynkowych. Przyczyna, która hamowała ponadto pełniejszy rozwój kultury fizycznej był brak ścisłego współdziałania w tym zakresie między Łodzią i woj. łódzkim.

Tak było przed kilkunastoma miesiącami. Przypominamy o tym nie dlatego, by wznosić pomniki nowej władzy partyjno-administracyjnej w Łodzi. Nowa władza tego nie potrzebuje. Za nią przemawiają konkretne czyny, które podjęła, aby wyprowadzić sport łódzki na szersze wody. Każdy działacz sportowy w Łodzi odczuwa — korzystna zmiana atmosfery wokół spraw dotyczących kultury

fizycznej, która sprzyja wyzwalaniu inicjatywy oddolnej.

Ale z tą inicjatywą oddolną nadal nie jest jeszcze najlepiej. Przypatrzmy się tylko nieco bliżej działalności poszczególnych okręgowych związków sportowych, a bez trudu zauważymy, że tkwią one nadal w głębokim marazmie. Nie widząc ich bardziej dynamicznego działania na zewnątrz. A one winny przecież nadawać ton łódzkiej kulturze fizycznej, wychodzić z szerokim programem rozwojowym tych dziedzin sportu, które reprezentują. Czekają się jednak dalej w błogim nastroju na decyzje odgórne. Bo to wygodne, nie bierze się wówczas za nic odpowiedzialności.

Kilkudziesięciu działaczy sportowych obracało, na zlecenie Wydziału Propagandy KŁ PZPR, swoje spostrzeżenia i wnioski — słuszne i mniej słuszne — na temat łódzkiej kultury fizycznej. Niektóre z nich z pewnością posłużyły za kanwę do dyskusji na majacym się odbyć posiedzeniu Sekretariatu KŁ PZPR. Wszyscy działacze niecierpli-

wie czekają na uchwałę Sekretariatu KŁ w sprawie sportu, wychowania fizycznego i wypoczynku po pracy, jakby sama uchwała mogła natychmiast uleczyć schorowany organizm.

Uchwała Sekretariatu może być tylko drogowskazem, ale nie szczegółowym programem dla poszczególnych ogniw życia sportowego w Łodzi. Program szczegółowy musi wypracować sobie każda jednostka sportowa (kluby, związki sportowe itd.), program ambitny, ale zgodny z założeniami podporządkowany przede wszystkim naczelnym interesom sportu łódzkiego. Musi więc zniknąć w działaniu partykularyzm, przebieg ambicji bez pokrycia, która cechuje niektóre organizacje sportowe w naszym mieście. Musi być wreszcie uporządkowana sprawa ukierunkowania specjalistycznego każdego klubu sportowego z osobna, którą z kolei należy w przyszłości ściśle przestrzegać.

Mamy obecnie w Łodzi sprzyjającą atmosferę dla spraw kultury fizycznej; trzeba ją więc właściwie wykorzystać.



O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Zrealizowany przed pierwszymi transplantami serca amerykański film „CHARLY” w reżyserii Ralphe Nelsona podejmuje problem, który wraz z eksperymentami doktora Barnarda, stał się przedmiotem szczególnie gwałtownej dyskusji, a który pojawił się znacznie wcześniej jako wynik przewidywań możliwości wielu nauk i praktyki medycznej. Czasy przeszczepów serca i determinowania płci noworodka postawiły przed ludźmi nie tylko problem znakomitej i coraz pełniejszej sprawności współczesnej nauki, w ślad za nim przyszła refleksja stygna. Ingerencja w funkcjonowanie ludzkiego organizmu, wielki, zdawało się, niepodważalny sukces człowieka, pociągnęła za sobą wątpliwości z zakresu praw medycyny. Głównym

wątkiem wyczuwa, grzeszy nie tylko nieprawdopodobieństwem (no, cóż — fantazja naukowa!) sytuacji, ale i ich uproszczeniem. A mimo to nawet najznakomitszy zespół specjalistów oglądający ten film, nie potrafili zanegować go w pytaniach o prawo i odpowiedzialność lekarza — eksperymentatora, w jego pytaniach o prawo do ślepej wiary w świat uczonych, nie wolnych przecież od takich grzechów ludzkich, jak karierowiczostwo, próżność czy prosta głupota. Współczesność dostarcza nieustannie dowodów, że żyjemy w czasach niezwykłej wiary w siłę nauki, i coraz gwałtowniej rodzących się pytań o jej sumienie. Film Nelsona ma w tym kontekście niezaprzeczalne, humanistyczne wartości. Dodajmy jeszcze, iż obserwując dramat bohatera filmu, Charly'ego, (wielka rola Cliffa Robertsona) nie możemy wyzbyć się jeszcze jednej refleksji. Tak jak on, ludzkość przyspieszyła dzięki rewolucji technicznej i naukowej rozwój inteligencji i stała w jakimś momencie bezradna wobec idącej wraz z nią dewaluacji wartości moralnych. Co ją czeka? Czy los Charly'ego, któremu nauka pozwoliła osiągnąć najwyższy poziom inteligencji i na powrót wpełchnęła w świadomość debilizm?

* * *

Prezentowany w ramach warszawskich Dni Filmu Amerykańskiego „PAMIĘTNIK SZALONEJ GOSPODYNI” Franka Perry, już wchodzi do ogólnego rozpowszechniania, dając okazję zapoznania się z tym nurtem kina amerykańskiego, który powstaje z dala od oficjalnej kinematografii Hollywood. Perry, znany u nas jako autor pięknego filmu „Dawid i Liza”, proponuje tym razem komedię obyczajową, która jednakże nie powinna nas zwodzić swą lekką tonacją. „Pamiętnik” jest pozycją znaną dla ambitnych poszukiwaczy kinematografii amerykańskiej ostatnich lat, któ-

ra w nieco zakamufłowany sposób poprzez tak komercyjnie często gatunki, jak film sensacyjny, western, czy właśnie komedia, dokonuje gorzkiej rozrachunków z przeszłością i teraźniejszością swego społeczeństwa.

Z pozoru tylko komediowy temat, w istocie przybiera ton głębokiego protestu przeciwko przedstawionemu modelowi życia, protestu skierowanego do świadomości zbiorowej społeczeństwa, którego bohaterowie filmu są wytworem. Społeczeństwo zapewniło im dobrobyt materialny, wykształcenie, zawód, a co za tym idzie prawo wyboru modelu życia. Ten który w filmie znajdujemy jest przykładem absolutnego zagubienia się ludzi w codziennej, pustej i jałowej krzątaninie wokół utrzymania tego, co jest szczęściem zaprogramowanym przez straszliwą maszynę wypierającą człowieka z wszelkich odruchów autentyczności. „Pamiętnik szalonej gospodyni” jest znakomitą komedią, nie pozbawioną też pamfletowego zacięcia. Psychiczny kryzys tytułowej bohaterki filmu znajduje swe wytłumaczenie w satyrycznych obrazach rodzinnego bytowania i obserwacjach środowiska, w którym żyje. Jej bunt i z góry przewidziana niemożność jego spełnienia wśród ludzi rządzących etyką sukcesu, sukcesu jakiegokolwiek — zawodowego, towarzyskiego, erotycznego, jest tyle samo zabawny, co przeraźliwie smutny. Znajdujemy w „Pamiętniku” wcale nie powierzchowne studium samotności i niemożności znalezienia dla siebie choćby małego oparcia w czymś, co byłoby własne i niepowtarzalne. Standaryzacja życia wtedy, kiedy ogarnia również standaryzację myślenia i odczuwania, staje się koszmarem uwikłań, z którego jednakże ich bohaterowie rzadko zdają sobie sprawę. Przeciw temu stanowi błogość i samozadowolenia kieruje Frank Perry swą gorzką komedią.

EWA NURCZYŃSKA

TEATR OBIEKTYW

TRAGICZNA GRA EWY EVARD

W poszukiwaniach repertuarowych Teatr Telewizji sięgnął po słynną swego czasu (ukazała się w 1933 r.) powieść Andrzeja Struga „Złoty Krzyż”. Z trzytomowego dzieła adaptacji wysupłali jeden wątek fabularny: sprawę Ewy Evard („Sprawa Ewy Evard” wg A. Struga; — scenariusz — Andrzej Hausbrandt; reżyseria — Andrzej Zakrzewski; reżyseria TV — Anna Minkiewicz; scenografia — Waldemar Świerzy; opracowanie muzyczne — Andrzej Trybula; Telewizja Warszawa — 17. IV. 72).

Powieść Struga jest obszerna i ma złożoną strukturę. Wiele w niej wątków, wielu bohaterów. Losy ich splecione są w jeden węzeł, służą jednemu celowi. Chodzi o ukazanie wojny w całym jej bezsensie i okrucieństwie. Brzmi to jak truizm, a przecież nigdy nie powiedziano się dosyć na temat destrukcyjnej siły wojny. Strug powieścią swą wpisał się do rzędu wybitnych pisarzy — twórców literatury pacyfistycznej, tak popularnej po I Wojnie Światowej.

Na marginesie odnotujmy, że po II Wojnie Światowej mało powstało powieści tego typu. Może pisarzy rozczarowała mała skuteczność literatury pacyfistycznej, choć twórcami jej były takie wielkości jak Romain Rolland, Erich Maria Remarque, Arnold Zweig, czy Ernest Hemingway. Literatura ta bowiem, choć czytana powszechnie, nie stanowiła żadnej przeszkody dla faszystów i militarystów lat trzydziestych.

Wróćmy jednak do adaptacji telewizyjnej „Złotego Krzyża”. W jakim celu jej dokonano? Ideowa wymowa powieści po czterdziestu latach wyblakła. Zławsza wymowa wątku Ewy Evard. Piękna kobieta, gwiazda filmowa podziwiana przez publiczność całego świata, niejako z nudów włącza się w wir wojny. Podejmuje się tajnej misji na rzecz francuskiego wywiadu w Berlinie.

Tę niebezpieczną grę podejmuje Ewa Evard sprzecznie z obowiązującymi regułami. Nie uznaje praw rządzących światem szpiegowskim, nie robi sobie z przestrogi, drwi z pogroźek. Sama gra upaja ją, wciąga jak narkomania. W powieści Struga poczynania Ewy wynikają jednak z głębszej analizy psychologicznej, wtopione są w losy innych ludzi. Adaptacja niemal całą tę otoczkę odrzuca.

Co pozostaje zatem w spektaklu telewizyjnym? Przede wszystkim elementy sensacyjne. Nie starcza ich jednak, by uczynić pasjonujące widowisko. W dodatku adaptator przyjął metodę narracyjną. Ewa Evard jest już od pierwszej sceny aresztowana. Jej zeznania przed francuskim oficerem śledczym, majorem Lejard, inkrustowane są scenami retrospektywnymi. Jest to konwencja tak już wyeksploatowana, że aż banalna.

W dodatku konwencja ta stosowana jest przez adaptatora niekonsekwentnie. Narratorem w tym spektaklu jest sama Ewa Evard, ale chwilami rolę tę przejmują major Lejard, potem adwokat Lourthier. Uproszczona fabuła, zredukowana ilość osób wcielanych w wątek Ewy, sprowadzenie całej akcji do rozmów, wszystko to czyni adaptację znacznie uboższą od oryginału.

Obraz psychologiczny tytułowej bohaterki otrzymalibyśmy dwuwymiarowy, gdyby nie aktorstwo Anny Seniuk. W aktorce tej Ewa Evard zyskała odwrócić pełną wyrazu, kształtującą swą kreację jakby ponad tekstem. Tyle autentyzmu udało się Seniuk przekazać w tej roli, tyle elegancji, kultury i wdzięku, że już to samo usprawiedliwia adaptację i uwierzytelnia jej miłośników.

Inni aktorzy mniejsze mieli pole do popisu. Interesująco wypadł Henryk Machalica jako porucznik Percin, Jerzy Kamas jako adwokat Lourthier, Emil Karewicz jako generał von Sittenfeld i Mieczysław Voit jako Van Trothen. Ogólnie odbierałem jednak „Sprawę Ewy Evard” z uczuciem zawodu. Więcej spodziewałem się po tym spotkaniu z Andrzejem Strugiem po latach.

Wina adaptacji? A może samego Struga, który się tak zastarzał? Chyba i jedno i drugie po trochu. Poniedziałkowy Teatr Telewizji nie ma ostatnio dobrej passy!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

spektakle tygodnia

za okres od 10 do 16. IV. 1972 r.

	Teatr	liczba spekt.	liczba widzów	proc.
WIELKI	„Madame Butterfly”	1	1260	100
	„Uprowadzenie z seraju”	1	1260	100
	„Aida”	1	1240	97
	„Wieczór baletów polskich”	1	1260	100
	„Białowłosa”	1	900	70
NOWY	„Henryk VI na łowach”	1	1260	100
	„Na szkle malowane”	3	2100	100
MALA SALA	„Zołnierz i bohater”	3	2100	100
	„Opowieści lasku wiedeńskiego”	1	630	90
	„Prometeusz”	1	585	85
	„Idiota”	1	700	100
	„Ofiary obowiązków”	3	540	90
POWSZECHNY	„Rodeo”	1	200	100
	„Urodziny”	1	180	90
JARACZA	„Perla”	2	1320	100
	„Królewskie polowanie na słońce”	1	400	70
	„Król Lear”	1	400	70
	„Ojciec królowej”	1	660	100
	„Boso, ale w ostrogach”	1	550	85
MALA SCENA	„Szkłanka wody”	6	3271	100
	„Hamlet”	3	1503	97
FILHARMONIA	„Ania z Zielonego Wzgórza”	2	1088	100
	„Tajemniczy ogród”	1	547	100
7.15.	„Oskarżyciel publiczny”	4	288	86
	„Trędowata”	3	1251	100
OPERETKA	„Kaper królewski”	6	4200	70
	koncerty symfoniczne	2	900	68

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

MALARZ „ZJADACZY ZIEMNIAKÓW”

Nieznana przez współczesnych, nieznana następnemu pokoleniu, dziś twórczość Van Gogha świeci swe triumfy. Setki tysięcy ludzi zwidziało oświetlone ostatnio w Paryżu retrospektywną wystawę Vincenta Van Gogha.

Czy tylko twórczość sama wielkiego malarza czy także jego osobowość tak fascynuje tłumy? — pyta „Humanité” i skłania się ku odpowiedzi, że nie same dzieła, ale niezwykła osobowość artysty, tragedia jego życia, zawody w miłości, jego rozdarci psychiczne sprawiły, że ludzie interesują się nim tak bardzo. Van Gogh, jako malarz i jako człowiek.

Vincent Van Gogh porzucił łatwe życie malarza, by w pewnym momencie pójść jako kaznodzieja do ośrodków górniczych w Belgii, by światu i z wyboru wieść wśród nędzarzy życie nędzarskie. Rozdał biednym wszystkie swoje pieniądze, rozdał ubranie i przedmioty jakie posiadał. Sympatycznie go przyjmowali, jego pożywieniem był chleb, ryż i syrop z melasy. Gdy wybuchł tyfus siedział przy łóżku chorych. W nocy czytał i modlił się. Nie zapomniał też o swej artystycznej pasji i malarskim

powołaniu. Rysuje i maluje ludzi biednych i wyzyskiwanych. I później, gdy już nie będzie wśród górników i biedoty węgłowego okręgu, zmuszony stamtąd do wyjazdu, jego ulubionym tematem obok krajobrazu zawsze pozostanie malowanie ludzi pracy. Na jego płótnach pojawiają się wieśniacy i górnicy, tkacze z warsztatem, drwal i „Zjadacze ziemniaków”, słynny obraz o niezwyklej ekspresji, przedstawiający rodzinę biedaków przy wspólnym stole. W okresie pobytu w okrzęgu górniczym Van Gogh marzył o założeniu falansteru artystów, których dzieła służyłyby odzwierciedleniu życia robotników i wieśniaków.

Nie mógł naprawić świata walką w pojedynkę, nie mógł akcją charytatywną przemienić stosunków społecznych. Ale mógł dać i dał przemawiając do uczucia, wyobraźni i intelektu, obraz nędzy i biedy.

Ostatnio francuska TV nadała film o Van Gogh, zawierający historię jego życia od daty urodzin w roku 1853 w Groot-Zundert, aż do przybycia malarza w roku 1885 do Paryża. W pięć lat potem tragiczna, samobójcza śmierć przerwała życie tego niezwykłego malarza i równie niezwykłego człowieka.



Vincent Van Gogh — „DRWAL”

„NIEPUBLIKOWANY DOSTOJEWSKI”

„Niepublikowany Dostojewski” taki tytuł ma niedawno wydany 38 tom cyklu pt. „Dziedzictwo literackie” (Literaturnoje nasliedstwo), organ Instytutu Światowej Literatury Akademii Nauk ZSRR.

Tom zawiera przedruk zapisków z notesów i zeszytów Dostojewskiego z okresu dwudziestu lat — od 1860 roku do 1881. Są to notatki dotyczące pisarskich planów i projektów, które nie zostały jednak przez autora zrealizowane, następnie szkice artykułów publicystycznych, uwagi do wykorzystania w dziennikarskich polemikach, rozmyślenia na tematy społeczne, historyczne i filozoficzne. Są to zatem swego rodzaju twórcze dzienniki pisarza, gdzie specjalne miejsce zajmują problemy dotyczące literatury i sztuki.

„Literatura — sztandar godności” — te słowa powtarzają się kilkakrotnie w jednym z ostatnich zeszytów z notatkami Dostojewskiego, jak dewiza, jak symbol przekonania autora.

Dostojewski nienawidził rozpraszania się w literaturze jego czasów, przedsięwzięcia, przystosowania i rzemieślniczych nawyków. „W naszym społeczeństwie — je, po dość przystępnej cenie, swym czytelnikom kołomy karmy duchowej”. Sądząc na podstawie licznych zapisków zamierzając napisać artykuł o obywatelskim powołaniu, artysty. Oto główna myśl tego artykułu: „O tym, że w literaturze (w naszych czasach) należy wysoko nieść sztandar godności. Wyobraźmy sobie co by to było gdyby Lew Tolstoj, Gonczarow okazali się ludźmi bez godności”. W notatkach z lat 1876—77 spotykamy już na pierwszy rzut oka nieoczekiwaną, a jakże charakterystyczną dla Dostojewskiego myśl: „Życie jest dobre i tak trzeba czynić,

TUTENCHAMON I OZDOBY

W Londynie odbywa się właśnie wielka wystawa skarbow z grobowca Tutenchamona. Faraon ów zmarł 3300 lat temu. Pięćdziesiąt lat temu brytyjski archeolog Howard Carter odkrył



Biżuteria wzorowana na ozdobach z grobowca Tutenchamona

grób z mumią Tutenchamona. Skarby znalezione w grobie były już pokazywane kilka lat temu w Paryżu, obecnie w Londynie. Najcenniejszym eksponatem, którego wartość liczy się w setkach milionów funtów, jest wykonana ze złota pościelna maska faraona.

Londyński „Sunday Times Magazine” uczcił wystawę w szczególny sposób. Oto pismo ofiarowało, po dość przystępnej cenie, swym czytelnikom kołomy skarbow z grobowca Tutenchamona jako ozdoby dla kobiet na szyję, przeguby rąk i palce. Biżuteria ta wykonana została z blachy i plastiku. W oryginale, te staroegipskie ozdoby, z często powtarzającym się motywem skarabeusza, wykonane są ze złota i lapis lazuli.

WYPRZEDAWANIE OBRAZÓW W AMERYKAŃSKICH MUZEACH

Amerykańskim muzeum, wobec rosnących kosztów utrzymania, grozi wyprzedaż cennych dzieł

sztuki. I tak np. New Yorker Museum of Modern Art sprzedało ostatnio dwa obrazy Odilona Redona i Giorgio de Chirico. Zaś

szef „Metropolitan” chce sprzedać Picassa „Kobieta w białej”, jeden obraz Renoira i jeden Maneta.

JULIEN CLERC — NOWA GWIAZDA PIOSENKI

Ma dwadzieścia pięć lat, ale zdobył już wielką fortunę. Julien Clerc jest nową gwiazdą francuskiej piosenki, idolem, zwłaszcza młodych dziewcząt. Przemierza Francję w swym mercedesie, zatrzymując się w różnych miastach i dając koncerty. W ciągu roku przebywa ponad 87 tysięcy kilometrów. Wysoki, szczupły, o gęstych, czarnych, wijących się włosach, śpiewając na estradach wywołuje ekstazę widzów, niekiedy się burząc oklasków. A z sali wołają dziewczyny: „Julien, kocham cię”, „Julie, jakis ty piękny!”, „Julien, Julien, Julien!”.

Po występie pozwala się odwiedzić przez swe wielbiciele. Wpuszczane są po trzy na raz. Przyjmuje od nich kwiaty i drobne. Rozdaje na pamiątkę autografy i pozwala się pocałować w policzek. Bardziej agresywne dziewczyny zostają natychmiast wyrzucane za drzwi. Dokonuje tego sekretarz, szofer i ochrona osobista.



Julien Clerc z matką

JAK SIĘ ODŻYWIŁ BERNARD SHAW?

W tych dniach ma się ukazać w Stanach Zjednoczonych książka napisana przez Alice Laden, była kucharkę i gospodynię domu Bernarda Shawa.

Tytuł: „Jarska kuchnia G. B. Shawa”. Książka z pewnością cieszyć się będzie zainteresowaniem, bowiem wielki angielski dramaturg dożył sędziwego wieku jadając potrawy przyrządzone przez panią Laden.

NIEDZIELI NIEDZIELI

LITERATURA LUDOWA

CO Z FOLKLOREM? ▲ CZTEROLETNIA LUKA ▲ KONTYNUACJA INICJATYW PROFESORA ▲ LITERATURA BRUKOWA I FOLKLOR PRZESTĘPCZY ▲ LISTY MIŁOSNE Z ŁAKI ▲ ŚWIEŻOŚĆ I PROSTOTA ▲ NOWY KSZTAŁT PISMA

Jaki jest los tradycji folklorystycznych środowiskowych i zawodowych? Jak kształtują się związki między literaturą a folklorem? Między pojęciami literatury masowej a folklorem? Pytania niełatwe i odpowiedzieć na nie jednym zdaniem nie sposób.

Te sprawy muszą być przedmiotem badań i analiz. Niestety, założone przez prof. Juliana Krzyżanowskiego w roku 1937 czasopismo „Literatura ludowa” upadło na skutek trudności wydawniczych. Sprawa związków tradycji folklorystycznych z rzeczywistością wydawała się komuś nielubna, nieważna, niegodna własnego forum w postaci pisma.

Tak powstała czteroletnia luka w wydawaniu „Literatury ludowej”. Obecnie dzięki Polskemu Towarzystwu Ludoznawczemu pismo odrodziło się jak Feniks z popiołów. Zrezygnował co prawda z redakcji periodyku prof. Julian Krzyżanowski, ale młodsze pokolenie podjęło obowiązki utrzymania tych inicjatyw Profesora, które tworzyły fundamenty nowoczesnej folklorystyki polskiej. „Zgodnie z brzmieniem tytułu i współczesnym, szerokim rozumieniem folkloru, „Literatura ludowa” poświęci swe łamy badaniu twórczości ludowej środowisk wiejskich i miejskich, dawnych i współczesnych. Także badaniom problema-

tyki pogranicznej, a więc badaniom związków tekstu literackiego z gestem aktorskim, sposobem wykonania, muzyką, plastyką, obrzędowością tj. społecznymi formami tekstu, a także jego społecznymi funkcjami” — napisał nowy redaktor naczelny czasopisma, Czesław Hernas. Plany „Literatury ludowej” są niezwykle ekscytujące i ciekawe. Zapowiadają one na przykład podjęcie podstawowych badań nad dziejami polskiej literatury brukowej, dziejami literackiego kiczu, który przecież nie ma odegnać rolę we współtworzeniu gustu ludowych. Owa literatura brukowa, określana mianem druków notorycznie zbędnych, stanowi niezbadany, niesklasyfikowany nurt piśmiennictwa. Lekceważony, ale przecież nieobojętny, bo tworzący własną estetykę, oddziaływający na tworzenie się gustów i upodobań czytelników. Nie zawsze zdajemy sobie sprawę, jak bardzo owe gusty i upodobania wiodące swój rodowód z „druków notorycznie zbędnych” są obecne w czytelnich postawach końca XX wieku.

W Łodzi zajmuje się tymi sprawami dr Janusz

Dunin, którego interesująca książka z tego kręgu zagadnień znajduje się w planach Wydawnictwa Łódzkiego.

„Literatura ludowa” zajmie się nie tylko przytłaczającą kulturą ludową, ale i tekstami współczesnymi — przedmiotem badań będzie na przykład także folklor środowisk przestępczych.

Już choćby z tych pobieżnych informacji i zapowiedzi wynika, że nowy periodyk pod starą tytułem będzie pismem interesującym dla wszystkich, których pasjonują problemy kultury w najszerszym pojęciu tego słowa. Wydawcy zadbał także o atrakcyjność strony graficznej, co sprawia, że „Literatura ludowa” nabiera kolorów — i to do słowne. Znalazły się w niej m. in. barwne reprodukcje straganowych blasków i drzeworyty z XVI i XVII wieku.

W pierwszym numerze czasopisma Czesław Hernas prezentuje uroczę „Listy miłosne z Łaki”, wzruszające świeżością i prostotą. Jest to zbiór siedmiu autentycznych listów dziewczyny ze wsi Łaka na Rzeszowszczyźnie, pisanych przed I wojną światową. Ta garść listów

tworzy piękny, ludowy romans zaskakujący bogactwem formuły wypowiedzi, pozdrowień („tylko cię pozdrawiam przez gałązkę wiśni”), realiami wiejskiej kroniki towarzyskiej...

W listach przeplatają się miłosne wyznania i wierszowane pozdrowienia z doniesieniami o wiejskich wydarzeniach: „Twój najlepszy kolega Józek Ciasnocha jest w szpitalu w Przemyślu. Więcej tu nie ma nic ciekawego, tylko cię będę prosił, ażebyś się starał za przepustkę na ostatni zapust na nieścieleć do przysięgi. I już kończę to pismo na pocztę odnosząc ciębie najmiłszy odpowiedź proszę. Lećże ty listeczku, leć tylko mi się śpiesz i mojemu miłemu te wiadomości nieś. O bo ty listeczku bardzo oglądany, bo na ciebie czeka mój Jędrus kochany. Pozdrawiam cię Jędrus przez góry, przez jaskie, żeby nasza miłość nigdy nie zagasła...”.

Dobrze się stało, że „Literatura ludowa” powstała od nowa po latach trudności i niezrozumienia. Dobrze się stało, że czasopismo powstało w takim właśnie kształcie — atrakcyjnym zarówno naukowo jak i czytelnie.

JERZY WIDOK

Bez strachu

OBIETNICE

Wiele razy, gawędząc w przyjaźnej, kawiarnianej atmosferze, obiecywałem to, czy owo znajomym. Oto ktoś, komu miałem pożyczyć sto złotych, oto człowiek, któremu miałem dać określoną książkę, oto ten, który miał otrzynąć lampę z zielonym kłosem, oto ów, który liczył na nocny stolik. Mówiłem tak, obiecywałem, bo kiedy nie składałem podobnych obietnic, robiło się wokół mnie pusto, ludzie stronili ode mnie, nudziłem się sam przy kawiarnianym stoliku. Dostrzegłem także, że po darunkach musiały być coraz bogatsze, musiałem przedstawiać się jako człowiek możny, atrakcyjny. Wszystko to zaczęło się psuć i jamać od sprawy szafy. Pamiętam, jak jeden ze znajomych przysiadł się do mnie i skarzył ze łzami w oczach na brak szafy. „Glupstwo! — zawołałem. — Dam panu szafę! To dla mnie drobniak”. Dziękował mi, płacząc, wydał mi drobny, nieszkodliwy. A właśnie w tej chwili, od tego dnia cały mój system zyskiwania przyjaciół zaczął się załamywać. Nastąpił czas spełniania lekkomyślnych obietnic. Kilka silnych dłoń uderzyło w moje drzwi. Wkroczyli barczysti mężczyźni z pasami tragarzskimi w rękach. „My po tę szafę!” — powiedzieli. „Proszę nie przeszkadzać!” — krzyknęli, gdy próbowałem coś perswadować, odrzucić i odsunąć mnie z drogi. Zrezygnowałem, znieśli ją po schodach. Potem przyszedł ktoś, komu obiecałem niegdys sto złotych i wyegzekwował je kategorycznie. Wszedł ktoś inny i wyszedł unosząc naręcz cennych, niegdys mu obiecanych książek. Potem ktoś wbiegł gwałtownie. Wielokrotnie zapalał i gasił lampę z zielonym kłosem, usmiechał się przy tym tak miło, że ani się spostrzegłem, kiedy uszedł z lampą. Potem przychodził inni i obiecano im rzeczy odbierali kategorycznie. Zostałem sam w pustym mieszkaniu. Początkowo ogarnął mnie lęk, a potem silniejsza od lęku nuda. Zatrzasnąłem drzwi pustego mieszkania i pobiegłem do kawiarni. Przypadło mi miejsce przy pustym stoliku. Oni wszyscy siedzieli przy sąsiednim stole i radovali się. „Stawiam wam wszystkim kawę z tortem — mam sto złotych!” — wołał jeden z nich. „A ja was zapraszam do siebie na wieczór przy pięknych, intymnym świetle zielonej lampy”. „C9 do mnie wołał inny — służyę pożyczką cennych książek”. Inny beczelnie proponował sprzedaż nocnego stolika, inny chciał sprzedać za śmieszna sumę kilkunastu tysięcy wspaniałą, lustrzaną szafę. Niedostrzeżony, niesłyszany wyszedłem z kawiarni. Wracałem do pustego mieszkania pełen radości. „Oni wszyscy są mi zbyt bezczelni, uwolniłem się od nich tak łatwo, tak małą datą cenę za poczuć samotności...”.

BERNARD SZTAJNERT



HAROLD Q. MASUR

Podwójna gra

Spędziłem cztery przyjemne godziny z moją klientką Lucilla Gillan. Wysoka brunetka, bardzo ładna, o czarującym uśmiechu. Umiiała tańczyć i rozmawiać.

O północy odprowadziłem ją do domu. Nie chciałem wejść na górę, nie lubię romansować z klientkami. Przed windą, przy pożegnaniu zarzuciła mi ręce na szyję i pocałowała mnie.

Nagle z mroków korytarza wyskoczył jakiś mężczyzna i uderzył mnie w głowę.

Nędzny oszuście, brudny wspólnik... Powiniennem roztrząsać wasze głowy.

Poznałem go, był to Max Gillan, mąż Lucilli. Dwa dni temu wyszedł z więzienia, warunkowo.

Lucilla wskoczyła do windy i pojechała do swego mieszkania.

— Proszę przebaczyć tonie — wyjąkałem. — To ja zachowałem się jak krety.

— Do diabła z Lucilla! — odpowiedział Max. — Chciałem zobaczyć się z panem. Pomówimy w samochodzie.

Usiadł w moim Buicku trzymając rewolwer na kolanach.

— Dokąd?

— Do mego domu.

Mieszkał w Belmore, na piątym piętrze. Gdy weszliśmy do pokoju, był już tam Paul Hadley, adwokat. Zajmował się wszystkimi sprawami Gillana, z wyjątkiem jednej: dwa lata temu policja przyłapała Maxa jako kierownika gangu bukmacherów. Wówczas Hadley zwrócił się do mnie, twierdząc, że nie posiada doświadczenia w sprawach kryminalnych, i że ja więcej zrobię dla Maxa.

Próbowałem, walczyłem, ale na próżno. Policja miała do-

wody winy Maxa i sąd przysięgłych orzekł, iż należy go skazać.

Wchodząc do pokoju rzekł Max do Hadleya: — Miał pan rację, znalazłem go tam.

Nagle Max wyciągnął ręce, podniósł mnie do góry i porzucił w ścianie.

— Gdzie są pieniądze, Jordan? — Gdzie je schowałeś? Co to znaczy ta twoja depecha: „Kasetka była pusta”?

— Proszę się uspokoić, zaraz wszystko wyjaśnię. Posiada pan w Newarku sejf bankowy. Ponieważ to jest w innym stanie, a panu nie wolno wyjeżdżać poza granice swego stanu, upoważnił mnie pan do otwarcia kasety i przywiezienia jej zawartości.

Przyjechałem do Newarku, otworzyłem sejf, lecz okazało się, że jest pusty. Nie pozostało ani grosza z pańskich pieniędzy. Ja ich nie wziąłem. Gdybym wziął, byłbym teraz w Meksyku, a nie tutaj przed panem.

Max przeżuwał to, co mu powiedziałem. — Dwieście tysięcy dolarów — powtarzał.

— A co pan dzisiaj robił z moją Lucilla? Co tam jest między wami?

— Nic a nic, Max. Widziałem pańską żonę pierwszy raz w czasie procesu. Dzisiaj po raz drugi. Zatelefonowała do mnie prosząc o spotkanie. Poszliśmy na kolację.

— Czego chciała?

— Stara się o rozwód. I prosi, żebym ja się tym zajął.

Max chodził nerwowo po mieszkaniu. Potem stanął w oknie. Wreszcie odwrócił się do mnie.

— Słyszałem, że pan umie rozwiązywać różne trudne sprawy. Chciałbym, żeby pan

wykrył, kto mi ukradł te pieniądze. Ja je odbiorę a pan otrzyma swoją część.

— 25 proc. Max, czy pan się zgadza?

— Tak, zgadzam się.

— Potrzebne mi jest pańskie upoważnienie na prowadzenie sprawy.

— Proszę je ułożyć a ja podpiszę.

Podpisał, ręce mu drżały z wściekłości...

Następnego dnia pojechałem do Newarku.

Gillan miał kasety w banku „Merchant's Trust. Jeden z woznych skierował mnie do urzędnika o nazwisku George Ambros.

Sluchał uważnie moich wyjaśnień. Zmarszczył brwi i rzekł groźnie: — Trudno mi uwierzyć w to, co pan opowiadał. Wiadomo, że nikt nie ma dostępu do sejfu bankowego prócz właściciela lub osoby przez niego upoważnionej.

— Teoretycznie tak jest — przyznałem. — ale może przeprowadzimy małą kontrolę?

Nacisnął guzik i powiedział kilka słów do cyfona.

Za chwilę pojawił się młody urzędnik z dwiema kartkami. Ambros porównał je i uśmiechnął się zadowolony.

— Oto dowód: Max Gillan przybył do banku sześć miesięcy temu i spędził dziesięć minut przy swojej kasecie. Podpisał się na tej kartce, może pan porównać z jego podpisem na kartoniku oryginalnym, na podstawie którego wydzierżawił kasetkę dwa lata temu.

Przyjrzałem się obu kartkom, podpisy wydaly mi się jednakowe.

— Wygląda na podpis oryginalny, gdyby nie pewna drobna okoliczność — rzekłem.

— Jaka?

— Sześć miesięcy temu Max Gillan był zamknięty w więzieniu Sing Sing.

Urzędnik poruszył się niespokojnie.

— Czy może pan to udowodnić?

— Kiedy tylko pan zechce.

— Przysięgam, że te dwa podpisy są autentyczne.

— Jak się nazywa urzędnik, który wówczas obsługiwał sejf?

— Kevin Graham.

— Czy mogę z nim rozmawiać?

— Niestety, pan Graham już tu nie pracuje. Cztery miesiące temu zwolnił się na własne żądanie.

— Czy mogę otrzymać jego adres?

Urzędnik znów coś powiedział do cyfona. Potem wziął kartkę i napisał adres. Pożegnał się.

Dom położony na peryferiach miasta Newark był mały z dobrze utrzymanym ogro-

dem. Na drzwiach zauważyłem pasek czarnej krepy.

Zapukałem. Otworzył mi drobny człowiek i zaprosił do wnętrza.

Na środku pokoju stał katafalk. Zmarły mógł mieć około pięćdziesięciu lat. Nie widziałem go nigdy. Jeden z mężczyzn stojących wokół trumny zapytał:

— Czy pan także z banku?

— Nie — odpowiedziałem.

— A więc przyjaciel biednego Kevina?

Przytaknąłem z wyrazem bólu.

— Takie nieszczęście! Był trochę pijany, jak zwykle. Nie zauważył światła samochodu. Został przejechany a ta kanalla uciekła!

— Gdzie to się zdarzyło?

— Tuż przed domem. Smutny koniec dla człowieka, który niedawno odziedziczył tyle pieniędzy.

Pompowałem go na temat Lucilli jak tylko mogłem. Tak, pani Gillan jest nie taka jak inne, co ze wszystkimi latają. Ma tylko jednego przyjaciela, dystygowaną osobę. Dozorca opisał mi jego wygląd. Dałem mu dwadzieścia dolarów.

Na ulicy zatelefonowałem z kabiny do Maxa Gillana.

— Czy możemy się spotkać w biurze pańskiego adwokata Hadleya?

— Dobrze...

Studio adwokata było urządzone luksusowo. Wskazał nam z uśmiechem fotele i podał papierosy.

— Co słychać, Jordan? Są dla nas wiadomości?

— Owszem, są — odpowiedziałem.

Zwrócił się zadowolony do Gillana: — A nie mówilem, Max? I co pan nam powie?

— Ktoś stałszował podpis Maxa w banku w Newark.

zabli! — krzyknął Hadley. — Naturalnie — stwierdziłem.

— Kto to jest?

Wskazałem palcem adwokata: — To pan.

Max wybaluszył oczy, zacisnął pięści.

Hadley uśmiechnął się z wyższością: — Pan zwirował, Jordan.

— Zdradził się pan wczoraj, gdy Max wchodził do swego mieszkania rzekł: „Miał pan rację, znalazłem go”. Rację w czym? Ze wyszedłem z Lucilla?

Bo pan powiedział Maxowi, gdzie może mnie oczekiwać. A skąd pan o tym wiedział? Bo pan ułożył tę całą komedię, pan kazał Lucilli zatelefonować do mnie a potem — żeby mnie pocałowała przy windzie. Chcieliście, żeby Max myślał, iż prowadzę podwójną grę, że ukradłem jego pieniądze i żonę. Wiedzieliście jaki jest impulsywny, że ma broń przy sobie.



Nastawiłem uszy. — Pienię-

dy? — Tak, od cioci Emili, która zmarła w Irlandii sześć miesięcy temu.

— Co mówi jego rodzina?

— Kevin nie miał rodziny.

Pożegnałem żalobników i odjechałem taksówką na dworzec.

W wagonie rozmyślałem nad różnymi faktami, sprawa zaczęła przybierać wyraźniejsze zarysy. Wysiadłem na stacji Manhattan i udałem się do mieszkania Lucilli Gillan. Nie było jej w domu.

Schodząc na dół wyjąłem z portfela dwa bilety dziesięciodolarowe. Zapukałem do okienka dozorca. Gdy mi otworzył pokazałem mu pieniądze.

— Łatwy zarobek, ale proszę odpowiadać na moje pytania.

— Słucham pana.

Podpis był doskonały, skopio-

wany z oryginału.

Hadley zmarszczył brwi. — Nie rozumiem, te kwity są podpisywane w obecności urzędnika zajmującego się kaseta.

— Po prostu wspólne prze-

stępstwo. Ktoś przekupił urzędnika dając mu część skradzionych pieniędzy.

— Jak się nazywa ten urzędnik? — zapytał Max.

— Już za późno, nie żyje.

Wczoraj wieczorem został przejechany przez samochód, który uciekł. Myśla, że to wypadek.

Ale ja wiem, że został celowo zamordowany, gdyż mógł zidentyfikować człowieka, który okradł sejf. Został zabity przed domem, który kupił za pana pieniądze, Max.

— Czyli pan wie także kto

że może skończyć na krześle elektrycznym.

Blady Hadley krzyknął: — Ten człowiek oszalał! Skąd mógł mieć klucz od sejfu?

— Duplikat dała panu Lucilla, spotykaliście się prawie codziennie, może to potwierdzić dozorca.

Wtem Max zerwał się z fotela i skoczył całym ciężarem na Hadleya. Zaczął go dusić.

— Przestań, Max! — krzyczałem. — Niech się nim zajmie policja!

Zerwałem firankę z okna, okreciłem nią kalamarz i wy-celowałem w Maxa. Upadł na podłogę zemdlony obok Hadleya.

Podszedłem do telefonu i naskreciłem numer policji.

A. S.



Lewym okiem

DZIWNY JEST TEN WSZEĆ.SWIAT

Największy łgarz i fantasta wszystkich czasów, baron Muenchhausen, opowiadał, że gdy znalazł się na biegunie północnym — chwycił oburącz wystający koniec osi ziemskiej, zaparł się mocno nogami w ziemię i wyteżając wszystkie siły zaczął kulę ziemską obracać wstecz! Obracając zaś, oglądał ze swej wysokości coraz to odleglejsze obrazy z przeszłości naszego świata, aż zabrakło mu tchu, glob zuwarczał, zakreślił się oszalamiająco szybko jak bąk i wrócił do poprzedniej pozycji. Tylko w niektórych domach szyby wypadły.

Wellswowsy bohaterowie przenosili się do dowolnych epok, pędząc na wehikule czasu. Wehikuł stał w miejscu, ale mknął w czasie — w przód albo w tył, świat dookoła był coraz to inny, inne stroje no-siły manekiny w oknie wystawowym magazynu mód naprzeciwko, inną broń zabijali się ludzie.

Dziś zaczyna już brakować fantazji dla wymyśle-nia rzeczy niemożliwych. Sonda kosmiczna lecąc w pobliżu planety Wenus fotografuje ją i przekazuje jej

obraz na ziemię, dokąd obraz ten dociera po paru minutach. Gdyby w sondzie siedział człowiek, mogli-byśmy z nim rozmawiać — nasz głos dobiegłby do niego po paru minutach. Nasz głos tam dobiega i dziś, tylko że nikt go na razie nie słucha. Gdyby sonda poleciała jeszcze biliony kilometrów dalej — nasz głos byłby tam równieź, tylko trochę później lub dużo później. Dużo później — to znaczy także w tysiąc lub milion lat po naszej śmierci. Ale ten głos tam będzie, będzie z całą pewnością, choć nikt go nie usłyszy. Będzie zawsze i wszędzie, w całym niewyobrażalnym kosmosie, wystarczy tylko malutki odbiornik i ludzkie, rozumne ucho do słuchania, żeby go podchwycić w nieskończonym locie do nikąd. Będzie także obraz, każdy obraz. Wystarczy mały odbiornik i ludzkie, rozumne oko, żeby pochwycić gdzieś tam obrazy ziemi sprzed wielu milionów lat, tak jak my tu na ziemi chwytamy już dziś obrazy planety Wenus sprzed paru minut. Obraz i dźwięk, przetłumaczone na język fal elektromagnetycznych, będą istnieć w nieskończoność, która tym samym przestaje mieć sens.

Uważajcie, panowie! Każde słowo trwa i lada moment ktoś nauczy się je chwycić bez względu na okoliczności. Zawiesi gdzieś pod Mgławicą Andromedy lusterko ustawione na różne częstotliwości i przy jego pomocy raz podłucha rozmowę faraonów z Mojżeszem, drugi raz podglądnie Ewę pod rąską jabłonną, kiedy indziej wybierze Robinsona, któremu się zdaje do dziś, że nikt go nie widzi.

Dotychczas mówiło się, że nadchodzi wieczór, albo świt, albo północ. To one do nas przychodziły, nie

pytając o pozwolenie. A dziś już dobrze wiadomo, że przecież jest jednocześnie i noc i dzień. Na zwyczajnym, pocziwym sputniku już dwanaście lat temu człowiek przychodził co chwila to do dnia, to do nocy, wcale na nie nie czekając. W ciągu godziny przeżywał święty, zmroki, podwieczorki i drugie śniadania. Nawet nie wiedział, czy najpierw jest rano, a potem południe, najpierw wtorek, potem środa.

Wszystko się pokiełbało, chociaż zegarek na rękę Gagarina tykał zwyczajnie i z niczym się nie zgadzał. Już się starałem zrozumieć sławetne prawo, że materia i energia są dwiema formami tego samego bytu. Że najmniejsza cząstka materii (straciłem orientację, czy to neutron, jon, proton czy inny iks-ton) jest straszliwie ściśniętą wiązką fal, skoncentrowaną do niemożliwości energią. Próbuję sobie na użytek prywatny wyobrazić, że pomiędzy ciałami kosmicznymi nie ma atomów, czyli tych elementarnych zagęszczeń energii, tylko sama rządzitka energia. Bardzo to trudne. A tu mi jeszcze prasa serwuje nowinę, że pewien uczony zakłada istnienie cząstek materii, których ruch jest wsteczny w stosunku do czasu! Czyli jakieś tam ziarenka stają się coraz młodsze, lecą w przeszłość, fizycznie i namacalnie. To ja przepraszam, to zbudujemy z tych ziarenek rower i będzie wehikuł czasu. I pojedziemy w naszą młodość, taką okrutną, głupią, patetyczną, straszną, szczęśliwą. Zakochamy się jeszcze raz, zamylimy się jeszcze raz o tym co będzie, czyli o tym co właśnie jest. Czyli w ogóle kręćka można dostać, chodźcie lepiej na kawę.

ĆWIEK.

Redaguje zespół: Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kler. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Pa-luch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł. kwart. 19,50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk.: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa”, Łódź, ul. Zwirki 17. Zam. 956. D-4.